STRON 8

ROK V • NR. 8 /192/

NIEDZIELA

25 LUTEGO

LONDYN • 1951

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

W NUMERZE:

SYTUACJA ŻYWNOŚCIOWA POLSKI • IOSAGAN • ŻYCIE AKADEMICKIE

Ks. JAN LISOWSKI *(Rzym)*

DZIEJE WALKI Z GRZECHEM

W OKRESIE Wielkiego Postu nawoływanie św. Jana Chrzciciela „czyńcie godne dzieła pokuty", dziwnym echem odzywa się w każdym z nas, budząc w duszach pewnego rodzaju niepokój. Być może, że w okresie tym, stawiając sobie przed oczyma dzieło Odkupienia, dokonanego przez Chrystusa Pana, rozmyślając tragedię Jego życia i śmierci, patrząc na dramat Kalwarii, dotykając niemal ran otwartych, zdajemy sobie jednak sprawę z różnicy istniejącej pomiędzy planem Bożej ekonomii, wyrażonej w życiu Chrystusa a naszym postępowaniem. W świetle poznawanych prawd męki Pana, widzimy jasno jak niewspółmierny jest własny nasz wkład w dzieło odkupienia nas samych, obowiązek, nawiasem mówiąc, nie zawsze przedstawiający się nam w konkretnej formie, ani przemawiający do nas jako coś, co nas istotnie dogłębnie dotyczy. Wielki Post jest czasem refleksji, a refleksje te, należy przyznać, nie są przyjemne; w duszy budzi się niepokój i zamieszanie. Bardzo często staramy się ogarniający nas niepokój zagłuszyć i odgonić niepokojące myśli; ale spotkanie wizerunku Ukrzyżowanego jest powodem, że zaczynamy myśleć o tych samych nieprzyjemnych sprawach.

Każdy uświadamia sobie genezę tego nieprzyjemnego uczucia; jest to ten sam niepokój, jaki pierwsi rodzice odczuwali po przekroczeniu prawa Bożego w Raju; jest to uczucie wynikające ze świadomości winy.

Wielki Post niesie z sobą jeszcze inny moment, który bardzo często powoduje w nas dość żywy... opór. Od wieków, bo od 1215 r. Wielki Post przypomina nam obowiązek spowiedzi. Data podana bynajmniej nie oznacza, że przed nią ten obowiązek nie istniał; tylko, że nie istniał w tej formie jak jest obecnie. Oprócz konieczności posługiwania się spowiedzią, jaka wynika z natury grzechów po chrzcie św. popełnionych, Kościół nałożył ciężki obowiązek odbycia spowiedzi św. przed Wielkanocą. Powiedzmy sobie otwarcie, że obowiązek ten nie jest ani przyjemny ani łatwy do spełnienia.

Nie jest to obowiązek przyjemny; oprócz bowiem cechy wspólnej wszystkim innym obowiązkom, które z natury swej miłe nie są, dochodzi tu inny moment wpływający na to, że spowiedź św. stała się obowiązkiem szczególnie nieprzyjemnym: każdy z nas w głębi duszy pielęgnuje swoje „ja", przyodziewa je w najcudniejsze stroje, widzi w nim największe zalety. To jest perła najcenniejsza naszego życia.

Wycyzelowane, wypielęgnowane, zajmuje ono pierwsze miejsce w naszych myślach, staje się drogowskazem naszego postępowania, probierzem, według którego osądzamy i swoje postępowanie własne i innych. I dziwna rzecz; można człowiekowi wiele rzeczy zarzucać, ale gdy tylko zadraśnie się to „Ja", stwarza się z niego śmiertelnego wroga.

Cóż jednak robi spowiedź? Dobiera się do tego zamku naszej wielkości; kamień po kamieniu rozrzuca nasze układy i to wszystko naszymi własnymi rękoma. Odzieramy z nas samych łuski zaślepienia i stajemy przed samymi sobą, przed Bogiem, przed drugim człowiekiem, być może gorszym od nas, w prawdziwej swej postaci; może skromnej, może czasem ułomnej, ale bez fałszu. Komuż jednak ten proceder do smaku przypaść może? Istotnie, spowiedź nie jest przyjemna!

Spowiedź nie jest też łatwa: istota spowiedzi polega na przemianie myśli i serca. Mamy samych siebie przekonać, że postępowanie nasze, nasze poczynania, które w rozgardiaszu życia uważaliśmy bądź za konieczne, sprawiedliwe, słusznie, bądź za użyteczne, nie są ani słuszne, ani dobre, ani konieczne, lecz, wprost przeciwnie, że są złe, że są przestępstwami.

Podobnie uczucia nasze musimy skierować przeciwko tym upodobaniom, bez których życie wydawało się nam niemożliwe. Nasze uczynki, ujrzane przez pryzmat spowiedzi nabierają innych kolorów i kształtów; jakże często różnych od tych, w jakich zwykliśmy je widzieć! Taka przemiana myśli i woli, wymaga wysiłku. A żaden wysiłek, szczególnie taki, który w rezultacie wykazuje żeśmy postępowali źle, łatwy nie jest. Wiemy z doświadczenia własnego życia, jak łatwo, w natłoczonym wypadkami dniu, nie dostrzec granicy dobra i zła, jak łatwo granica pomiędzy dozwolonym i niedozwolonym zaciera się i zanika. A raz wybrana droga, nie tylko zmusza nas do posuwania się po niej, nadto wymaga od nas usprawiedliwienia takiego własnego postępowania wzdłuż błędnie obranej drogi. Spowiedź nakazuje nam przeprowadzić rewizję naszych pojęć, wykreślić wyraźne granice i nawrócić na drogę właściwą.

Rzecz wcale nie łatwa. A pogarsza trudność i ten fakt, że spowiedź wymaga od nas poprawy, zdecydowanej woli niewykraczania na drogi nieprawości. Z drugiej jednak strony doświadczenie mówi nam, że łatwo jest przyrzekać poprawę, a bardzo trudno dotrzymać obietnicy; ba, przyrzekając poprawę bardzo często mamy pewność, że nie uchronimy się od nowych upadków. Jakiż więc sens, powiadamy sobie, męczyć się spowiedzią, przyrzekać poprawę, a potem iść własnymi drogami? Budzi się w nas poczucie niesmaku, zniechęcenia i zawodu.

Jakże często budzi się w nas tęsknota, ażeby ze spowiedzią skończyło się to ciągłe zmaganie się w nas samych, ażebyśmy osiągnęli stan, w którym nawet widok konfensjonału nie mąciłby spokoju duszy.

Zagadnienie walki między złem i dobrem w nas samych jest tak dawne jak świat. Aniołowie przeszli przez próbę szamotania się i wielu z nich upadło. Pierwszy człowiek, jakby nie miał nic ważniejszego do roboty, zajął się rozwiązaniem tego zagadnienia; i przegrał na całej linii, pozostawiając nam smutne dziedzictwo. Staliśmy się podobni do mitycznego Herkulesa na rozstajnych drogach; z jednej strony grzech przybrany w nęcące formy zachęca do wybrania drogi wygodnej. Z drugiej strony dobro o twarzy surowej i niemiłej wskazuje ścieżynę po zboczach stromego wzgórza. Wiemy z legendy starożytnej, że mityczny bohater wybrał tę drugą drogę; wysiłku i wspinaczki, gardząc łatwizną i wygodą. Nam jednak jakże brak tej woli i siły, przypisywanej postaci mitycznej.

Jak się przedstawia zagadnienie to w świetle historii Kościoła i jego praktyki?

Grzech i walka z nim zawsze była w Kościele jedną z wielkich bolączek. Wbrew oczekiwaniom, już w czasach apostolskich, w czasach kiedy to Duch św. rządził Kościołem i charyzmaty rozlewał obficie, już wtedy zagadnienie grzechu wysuwało się na czoło zagadnień. Nowonawróceni... grzesz[illegible]

Pierwszy oficjalny akt Kościoła, to napomnienie i przestrzeganie przed grzechami: bałwochwalstwa, nieczystości, zabójstwa (por. Dz. Apost. 15,20 — 30; 21,25).

Św. Paweł karci grzechy nieczystości, wyklucza z Kościoła tego, który grzechu się dopuszcza (por. Kor. 5,3 — 5; 2 Kor. 2), piętnuje chciwych, (1 Kor. 5, 9); karci procesujących się (1 Kor 6); złorzeczy przeklinającym, (1 Tymot. 1, 18 — 20; 2 Tymot. 2,6). Św. Jan podobnie grozi i piętnuje różne występki różnych Kościołów w Azji Mniejszej (por. Apok. 2, 4 — 5; 2, 14 — 16; 2, 20 — 23).

Ten stan rzeczy, nie zmienił się na lepszy w następujących wiekach. Już w trzecim wieku Tertulian daje listę grzechów; oprócz trzech wspomnianych w dekrecie Apostołów, jako najcięższe wylicza: zabójstwo, bałwochwalstwo, nieczystość, zaparcie się wiary, kłątwy i oszustwa; które to grzechy powiada Tertulian, „bezczeszczą świątynię Boga", t. zn. duszę ludzką. Oprócz tych wylicza inne grzechy, które powodują smutne następstwa. Między nimi są: „uczestniczenie w igrzyskach i zapasach gladiatorów, przypatrywanie się wyścigom, uczestniczenie w zabawach i grach, gniew i złorzeczenia", następnie są i upadki nagminne; „Każdemu z nas," powiada Tertulian, „zdarzyć się mogą one; któż z nas nie gniewał się bez powodu, kto w zapalczywości nie uderzył bliźniego, kto nie złamał słowa lub umowy nie dotrzymał, kto kłamstwami nie starał się wyjść z przykrej sytuacji? Jak wiele pokus czyha na nas w urzędzie, warsztacie, na rynku," (O skromności, XIX).

Z V wieku obraz moralnego stanu Kościoła znajdujemy u historyka Sylwiana, który w dziele swym; „O rządach Bożych", tak mówi: „Sam Kościół Boży, stać się miał pośrednikiem pomiędzy Bogiem i ludźmi, stał się prowokatorem gniewu Bożego. Pomijając kilku spomiędzy chrześcijan, którzy starają się uniknąć grzechów, czym stały się gminy chrześcijańskie, jak nie rynsztokiem wszelkich przekroczeń i występków? — Wielu spośród nas nie można by zarzucić obżarstwa i pijaństwa, wielu z nas nie uwodzi żony bliźniego i nie zniewala dziewic? Kogo z nas nie można by określić jako rozpustnika, złodzieja, mordercy? Grzechy te nie są czymś rzadkim, a stały się wadami nagminnymi. Pytam was i apeluję do waszego sumienia; wielu z was może mi oświadczyć, że nie popełniło żadnego z tych wykroczeń? Zaiste, prędzej odnaleźć tych można, którzy wszystkich się dopuszczali, aniżeli tak ch, którzy choć jednego z nich nie popełnili." (Ks. 3, r. 9). Przeciw ówczesnej Francji woła; „Kto z was dochował wierności swej żonie? Kto z was żony swej nie uczynił niewolnicą chuci swych?" (Ks. 7, r. 3.). Przeciwko gminom chrześcijańskim w Afryce Poł. tak narzeka; „Powiedzieć mi trudno, czy istnieje jaki występek na świecie, którego nie popełnili? Jeżeli barbarzyństwo zasługuje na potępienie, to oni są barbarzyńcami; jeżeli pijaństwo — to z pewnością są pijakami; jeżeli obłuda — to są obłudnikami; jeżeli podstęp — to są najbardziej podstępnymi... jednakowoż ich rozpusta i bluźnierstwa zasługują na szczególną uwagę; o ile bowiem w innych występkach nie przekraczają granic osiągniętych przez innych, to w tych dwóch wadach są niedoścignięci." (Ks. 7).

W tym samym mniej więcej czasie, św. Cezariusz piętnuje niemoralność panoszącą się we Francji, a szczególnie piętnuje wytwarzający się zwyczaj karania kobiet surowiej od mężczyzn za te same przewinienia. „Nieszczęsny wkrada się zwyczaj; bo niewiastę grzeszącą karze się surowo za jej występek (...) gdy tymczasem mężczyzna przychwycony na spełnianiu podobnych uczynków nie tylko że nie jest uważany za godnego kary, ale jeszcze poklask u innych znajduje" (Kazanie 288). Grzechy małżeństw nielegalnych tak rozpanoszyły się, że „Biskup niezdolny jest wszystkich z Kościoła wykląć, i dlatego też Kościół z tęsknotą oczekuje chwili, w której miłosierny Bóg, poruszy ich serca i do pokuty skłoni." (Kazanie 288).

W jaki jednak sposób starał się Kościół zapobiedz smutnemu stanowi rzeczy? Z jednej strony Kościół groził karami wykluczenia ze społeczności chrześcijańskiej, z drugiej zaś ukazywał środki umożliwiające nawrót na drogę dobra. Grzechy w w pierwszych wiekach były uważane za to, czym w istocie są, za obrazę Boga, przy czym odczucie i zrozumienie wielkości winy, zaciąganej przez grzech, przewyższały podobne zrozumienie obecnych czasów; grzech w czasach naszych zatracił swą brzydotę, przybrał formy „nowoczesne", stał się nawet przyjemnym towarzyszem codziennego życia człowieka. Wieki pierwsze grzech każdy nazywały po imieniu. W tym względzie przewyższały pierwsze wieki świat obecny, w którym jakże często grzechowi nadaje się miana nie wyrażające istotnej jego natury a wprowadzające w błąd.

Za grzechy, wyliczone przez Tertuliana, Kościół po prostu wykluczał ze społeczności chrześcijańskiej. A bywało, że człowiek w ten sposób wykluczony, nawet na łożu śmierci nie otrzymywał rozgrzeszenia. Za inne grzechy wierny musiał odbywać pokutę, co nazywało się rekoncyliacją, pogodzeniem. Bardzo zwracano uwagę na to, że po chrzcie św. jeżeli człowiek upadł, mógł wprawdzie korzystać z łaski pokuty, ale tylko raz jeden. Dlatego też Tertulian, który jest jednym z pierwszych świadków historycznych sposobu pokuty, przemawiając o pokucie tak się wyraża; „Oby przez chrzest św. odkupieni, nie wiedzieli raczej, że istnieje w Kościele możność odpuszczenia grzechów; i oby jej nie potrzebowali. Żal mi, że muszę o tej pokucie drugiej a zarazem ostatniej mówić; sam fakt bowiem istnienia możliwo-

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

OBJĄŁ Z DNIEM 1 STYCZNIA 1951 r.

SKŁAD GŁÓWNY WYDAWNICTW

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

Od dnia 1 stycznia obowiązują następujące, zniżone ceny:

A. Mickiewicz:	POEZJE WYBRANE, przedmowa Jana Lechonia, wybór Wiktora Weintrauba	3/6
A. Mickiewicz:	SŁOWA DO EMIGRACJI i SŁOWA DO EUROPY, wybór publicystyki w opracowaniu Tymona Terleckiego	3/6
B. Prus:	NOWELE WARSZAWSKIE, przedmowa Wacława Grubińskiego, i posłowie Marii Daniłowiczowej	7/6
B. Leśmian:	ŁĄKA I TRAKTAT O POEZJI	1/6
K. Wierzyński:	KRZYŻE I MIECZE	3/6
M. Hemar:	LATA LONDYŃSKIE	1/-
T. Terlecki:	POLSKA A ZACHÓD. Próba syntezy (3 wydanie)	1/-
S. Baliński:	WIERSZE ZEBRANE (1927 — 1947)	7/6
W. Grubiński:	O LITERATURZE I LITERATACH (Zbiór szkiców)	4/6
A. Bogusławski:	STRUNY NA DRZEWACH (poezje)	1/-
LITERATURA A POLITYKA.	Wolne opinie (Grubiński, Kisielewski, Rojek, Sukiennicki, Terlecki, Ulatowski, Zahorska)	-/6
W. Grubiński:	MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM (Wspomnienia z Rosji)	9/6

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH POLSKICH

SKŁAD GŁÓWNY:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

12, Praed Mews, London, W.2. Tel. AMB 6879.

ści zyskania rozgrzeszenia grzechów, może nasunąć myśl, że grzeszyć można. Strzeżcie się przed tak błędnym rozumowaniem! Możność odbycia pokuty nie oznacza zezwolenia na nowe grzechy! (...) niech łaskawość Boga nie stanie się wam zachętą do złego (...) lecz raczej (...)niech każdy walczy (...) aby ani okazja ani przykład do grzechu go nie przywiódł" (O Pokucie, VII). Naturalnie zdawał sobie Kościół sprawę, że walka z pokusami nie zawsze kończy się zwycięstwem, dlatego też dał możność odzyskania łaski przez grzech utraconej drogą pokuty; ale tylko raz jedyny. W jaki sposób odbywała się pokuta?

W pierwszym rzędzie podobnie jak dzisiaj; inicjatywa wyjść musiała od samego grzesznika; on to, popełniwszy grzech, musiał zgłosić się do biskupa i wyznać mu swoją winę; biskup zależnie od sytuacji mógł nakazać mu wyznanie publiczne winy; ale częściej, gdy charakter popełnionego grzechu nie nadawał się do publicznego wyznania, wystarczało samo przyznanie się przed biskupem.

Biskup naznaczał pokutę; a rozgrzeszenia nie dawał aż po spełnieniu nałożonej pokuty. Z reguły była ona wykonywana publicznie i przez czas bardzo długi. Pokuta, jakiej poddawani byli grzesznicy pierwszych wieków, nie wiem czy cieszyłaby się zbyt wielką popularnością wśród nas. Z drugiego wieku mamy przekazany opis pokuty Natalliusza, który, za pieniądze stawszy się biskupem heretyckim, upomniany we śnie przez anioła, prosił o pokutę, a wykonując ją; "...wstawał przed wschodem słońca, worem się oblekał a głowę popiołem posypywał... padając na ziemię stopy całował nie tylko kapłanom ale i wiernym..." (Eusebiusz, Hist. Kość. V.28).

W podobny sposób opisuje Tertulian pokutę, (nazywa ją eksomologezą), która „wymaga, by grzesznik na twarz padał i upokarzał się (...) by worem pokutnym się okrywał, popiołem głowę posypywał, ciała przed brudem nie bronił, a duszę smutkiem wypełnił (...) do modlitw post dołączyć winien, płakać i szlochać dniami i nocami; kapłanom i innym do nóg upadać i o modlitwy ich żebrać (...) bo ani w purpurze ani w szatach wygodnych prosić się nie godzi o przebaczenie, ale z włosem rozpuszczonym, ustami popiołem wypełnionymi (...) bez kąpieli i łaźni." (O Pokucie IX).

Św. Hieronim (ur. 350) opisuje w jednym ze swych listów pokutę publiczną matrony rzymskiej Fabioli; „Fabiola... wór pokutny nałożyła, aby w ten sposób publicznie winę swą wyznać przed zgromadzeniem wiernych i biskupem. Stawiła się boso, z rozwianym włosem, twarzą ramionami i szyją okrytą brudem, i z płaczem wyznawała swą winę" (List 77).

Już z tych skromnych przykładów widzimy, że pokuta nie była łatwa. To też z powodu tej surowości, chrześcijanie, aby uniknąć konieczności odbywania pokuty, stawali się katechumenami, ale chrzest starali się przyjmować dopiero w ostatniej chwili przed śmiercią; tak postąpił n.p. Konstantyn Wielki; albo też odkładali pokutę, sami siebie wykluczając z jedności Kościoła. Naturalnie uchylanie się od pokuty nie przynosiło korzyści grzesznikom, do takich też wołał św. Pacjan; „Bracia, wzywam was, którzy grzechy tak lekkomyślne popełniliście, abyście się nie ociągali ze spełnieniem pokuty. Jak się to stać mogło, że grzechy popełniając, odznaczaliście się bezwstydem, — a teraz bojaźliwymi okazujecie się do pokuty? skromnych udajecie, którzy nie rumieniliście się grzechy popełniając; grzechów wyznać nie chcecie wy, którzy chełpiliście się z ich spełniania!" (Egzorta).

Jest faktem niezaprzeczonym, że surowość wymaganej pokuty była hamulcem dla grzesznika w poddawaniu się jej. Grzesznicy jednak korzystali z nadarzających się okazji, by uwolnić się od tego ciężaru. Taką okazją bywały momenty prześladowań. Przy tym sam Kościół musiał zająć takie stanowisko, ażeby wystawionym na niebezpieczeństwo śmierci dać możność uzyskania rozgrzeszenia bez względu na to, czy grzesznik pokutę odbył czy nie, byle wykazał szczery żal za grzechy i chęć poprawy. Św. Cyprian w traktacie swym „O upadłych", najpierw wskazuje na to, że prześladowania zastały chrześcijan nieprzygotowanych; „Starali się raczej o zwiększenie majątku... nienasyconi chciwością. U kapłanów nie było wiary głębokiej ani pobożności. W dziełach dobroczynnych brakowało miłości, a w obyczajach moralności (...) małżeństwa zawierali z niewiernymi (...) nie bali się zaklinać, ani krzywoprzysięgać (...) nienawiścią się nawzajem ścigali i złorzeczyli sobie nawzajem (...)" (VI)

Toteż nic dziwnego, że kiedy w 250 r. Decjusz wydał dekret o składaniu ofiar "nie czekając na to, aż zostaną przymuszeni, sami pchali się tłumnie do ołtarzy bożków(...) ojcowie rodziny dzieci własne za ręce prowadzili, by składały ofiary" (IX).

Pomimo to przepisem pierwszego i drugiego Synodu Kartagińskiego zadecydowano, że w razie mającego nastąpić nowego prześladowania wszystkim należy udzielić rozgrzeszenia.

Drugą okolicznością, która pozwalała grzesznikom uniknąć publicznej pokuty była ciężka choroba. Oprócz wspomnianego zarządzenia św. Cypriana, posiadamy zarządzenia papieża Innocentego I, (402-417): „postanawiamy ,ażeby Komunii św. udzielano tym, którzy odchodzą z tego świata; mając na względzie tak miłosierdzie Boże, jak i to, że Komunia jest najlepszym posiłkiem na drogę do wieczności. W ten sposób zaś uniknie się surowości heretyków (Nowacjanów), którzy odmawiają umierającym rozgrzeszenia." (List VI). Podobnie papież Celestyn I (422 - 432) mówi; „Doszło do nas, że umierającym odmawia się rozgrzeszenia i że nie staje się zadość pragnieniom tych wiernych, którzy popełniwszy grzechy, na łożu śmierci lekarstwa przeciwko nim żądają. Jesteśmy przerażeni myślą, że znaleźć się mogą tacy, którzy nie ufając miłosierdziu Bożemu, tak postępują". Podobnie zarządził św. Leon Wielki (440 - 451): tym, „którzy w chwili niebezpieczeństwa życia o pokutę i rozgrzeszenie proszą, ani pokuty nie powinno się wyznaczać, ani też rozgrzeszenia nie odkładać; miłosierdzia bowiem Bożego nie należy ograniczać naszymi miarami, ani też określać granicami czasu Tego, Którego miłosierdzie odpuszcza każdemu, kto tylko skruchę okaże." (List 108).

Ciągle jednak zmieniające się czasy wpływały na to, że pokuty stawały się coraz to mniej surowe. Jakkolwiek złagodzenie pokut nie **nastąpiło wcześniej**, aniżeli przed wiekiem ósmym, w którym to wieku, szczególnie zaś na obszarze Irlandii i Anglii, został wprowadzony zwyczaj indulgencyj, czyli pokut zastępczych. Tak więc jeżeli za grzech, przypuśćmy, cudzołóstwa należało odbyć pokutę trzech lat o chlebie i wodzie, (Penitencjał Dawida), pokutę tę można było skrócić lub zupełnie się z niej uwolnić przez wpłacenie pewnej kwoty pieniężnej na cele charytatywne, lub wykonanie jakiegoś dobrego uczynku. Na tej też zasadzie mogły skupić tylu ochotników Krucjaty. Uczestnicy jej bowiem byli uwalniani od wszystkich nałożonych pokut.

Jak widzimy dotychczas, sprawa grzechu i jego odpuszczenia miała raczej charakter publiczny; i nic dziwnego. Warunki bowiem życia, oraz ścisłe współżycie gmin chrześcijańskich były powodem, że grzech osobisty człowieka stawał się szybko własnością innych. Skąd więc i w jaki sposób wytworzył się ten zwyczaj spowiedzi, jaką każdy z nas odprawia dziś?

Jak już wyżej wspomniałem, w pierwszych wiekach grzesznik udawał się do biskupa i przed nim wyznawał swoją winę prosząc o pokutę. Brak jest istotnie dokumentów historycznych, które by wprost wskazywały na to, że wyznawanie szczegółowe grzechów było w pierwszych wiekach obowiązujące. Jednym ze świadectw jest nakaz Leona W. karcącego nadużycie: oto w jednym z kościołów biskup wymagał publicznego wyznawania winy; dlatego też św. Papież wysłał natychmiast zakaz; „Żądam, ażeby praktyka ta natychmiast ustała. Przy pokucie wiernych nie należy wymagać otwartego i publicznego wyjawiania grzechów ze wszystkimi ich szczegółami. Wystarczy bowiem, jeżeli stan duszy ukaże się tajemnie przed kapłanem, — jakkolwiek godną pochwały jest wiara i dobra wola tych pokutujących, którzy nie zważając na wstyd, celem okazania swej dobrej woli i skruchy, nie cofają się przed publicznym swych win wyznaniem. Ze względu jednak na naturę grzechów, wyznawanie publiczne kryje w sobie niebezpieczeństwa i trudności, dla których podjęcia nie wszyscy posiadają wystarczającą odwagę (...) i wielu cofa się przed takim sposobem pokuty. Dlatego też nakazujemy zaprzestania tego zwyczaju. Wystarczy bowiem to wyznanie win, jakie przed Bogiem czynimy i przed kapłanem (...) i mamy nadzieję, że zakończenie *praktyki publicznego wyznawania win* więcej grzeszników do pokuty skłoni." (List 168)

Jak wspomniałem, list ten jest dowodem negatywnym. Wskazuje on na to, że spowiedź publiczna była nadużyciem, niezgodnym z pragmatyką Kościoła. I istotnie, już z drugiego wieku mamy świadectwo Oryginesa (185 - 254), który mówiąc o pokucie, jako o środku odpuszczenia grzechów, powiada, że wierny popełniwszy grzech, powinien kapłanowi otworzyć swą duszę i u niego szukać środków zaradczych przeciwko grzechom. A że wyznanie winy nie jest rzeczą łatwą, więc upomina; „Zastanów się dobrze nad wyborem tego, któremu wyznać masz swe winy, Znajdź takiego lekarza, przed którym z zaufaniem odkryć mógłbyś swe rany; przed lekarzem, który potrafi współczuć choremu i razem z nim opłakiwać; który zna ciężar smutku i cierpienia; to zaś zaufanie do lekarza tak wielkie być winno, abyś bez obawy przyjął jego polecenia i rady; a jeżeli on uzna, że publiczne wyznanie tej winy wiele dobrego przynieść może, poddaj się z zaufaniem jego wskazówkom." (Homilia do Psalmu 37). W następnych wiekach znajdujemy wiele napomknień o fakcie spowiadania się, lub raczej wyznawania winy przed samym kapłanem, czy biskupem.

Jako zwyczaj powszechnie przyjęty, zjawia się spowiedź najpierw w Irlandii i Anglii, a następnie w innych częściach Europy.

Św. Patryk, św. Kolumban, św. Fabian, zakładając klasztory na terenie Irlandii, jako regułę zakonną zaprowadzili pokutę w formie spowiedzi prywatnej przed kapłanem. Ten obyczaj klasztorny przeszedł w zwyczaje Kościoła. Tak więc ani Irlandia ani Anglia t.zw. publicznych wyznań nie miały. System ten jednak nie ograniczył się do granic wysp brytyjskich. Albowiem niezwykle czynni irlandzcy zakonnicy zaczęli zakładać klasztory na terenie Francji, Włoch, Niemiec: Luxeuil, Fontaine, Bobio, Konstancji, Bazylei. Wraz z nimi przeszczepił się zwyczaj odbywania spowiedzi prywatnie. Nie znaczy to jednak, że oni byli twórcami nowego sposobu pokuty. Widzieliśmy bowiem już Oryginesa wspominającego o konieczności wyboru roztropnego spowiednika, co suponuje, że zwyczaj spowiadania się nie był ani obcy, ani nowy już w trzecim wieku. Jest jednak zasługą zakonników irlandzkich, że wprowadzili spowiedź uszną jako zwyczaj i zwyczaj ten utrwalili.

Gdy się patrzy na ten rozwój sposobu odbywania pokuty, szczególnie zaś na moment wprowadzania spowiedzi prywatnej, może nasunąć się pytanie, czy jednak ludzie wieków przeszłych mieli te same trudności i uprzedzenia, jakie dzisiaj spotkać można u każdego z nas? Weźmy przykład: Czy już wtedy odczuwali ludzie, że spowiedź przed kapłanem wymaga ogromnego zaparcia się samego siebie? Na to odpowie św. Grzegorz, który mając już w VI wieku podobne trudności, powiada: „Kapłani, którzy z woli Boga, stając się sędziami innych, mają władzę odpuszczania grzechów, sami nie są wolni od obawy, że potępieni być mogą". Dlatego też mówi, że urząd kapłana, jakkolwiek jest wielkim zaszczytem, jest równocześnie „i ciężarem wielkim. Czyż bowiem nie jest rzeczą trudną dla człowieka, który może nie jest w stanie nałożyć cugli własnym namiętnościom, stać się sędzią życia innych? Jak często, niestety, zdarza się, że sprawujący ten urząd, prowadzi życie niezgodne z jego wielkością! Bez względu jednak na stan i świątobliwość kapłana, ci, którzy poddać się mają obowiązek jego wyrokowi, czynić to winni z szacunkiem i trwogą." (Homilia 26).

Nie łudźmy się przeto, że psychika człowieka „nowoczesnego" jest w istocie swej czymś innym od psychiki ludzi wieków ubiegłych. Winy nasze ani są większe ani mniejsze od win ludzi czasów minionych. Jednak tamtych cechowała odwaga zrozumienia swych trudności, nas cechuje tchórzostwo. Jeżeli dawniej cofano się przed pokutą, to tylko dlatego, że czasami przewyższała siły człowieka. Pokuta naszych czasów jest zbyt łagodna, by dać mogła chociażby pozór usprawiedliwienia i wytłumaczenia z niekorzystania z niej. Przypomnijmy sobie wołanie św. Pacjana i nie róbmy z siebie hipokrytów.

W okresie Wielkopostnym idźmy raczej za radą Otmara (759), który powiada; „Gdy postanowiłeś spowiedź odbyć, zachowaj się jak na mężczyznę przystało i nie pozwól powodować się wstydem; przez spowiedź uzyskasz odpuszczenie win swoich, a bez niej w grzechach pozostaniesz. Tak więc upadnij na twarz przed Boskim Majestatem i proś Go, błagając Matkę Najświętszą i wszystkich Apostołów, Męczenników i Wyznawców, aby wstawili się za tobą u Boga; aby Bóg użyczyć ci raczył mądrości i światła do zrozumienia twych win, Potem z odwagą i ufnością zbliż się do sługi Bożego, któremu winy swe masz wyznać, mówiąc: *Spowiadam się Bogu z grzechów moich, Świętym Pańskim i tobie — przez Boga naznaczonemu, z wszystkiego, co popełniłem słowem, uczynkiem i myślą (...)* Tak więc Bogu Wszechmocnemu wyznaję swe winy i tobie kapłanie i przyjacielu Boga; a proszę cię pokornie, byś raczył modlić się za mnie, ażeby Bóg z miłosierdzia swego odpuścił mi moje winy."

Rzecz to oczywista, że głos minionych wieków nie potrafi usunąć z nas trwogi przed konfesjonałem, ani niepokoju jakiego doznajemy, patrząc na wizerunek Ukrzyżowanego; sprawić jednak może, że przekona nas o tym, iż nie sami jesteśmy, którym przechodzić trzeba przez te udręki; że ani wiek cudów techniki ani też wiek wiedzy nie potrafi zmienić jednego faktu: że jesteśmy dziećmi Adama i dziedzicami jego...

Świadomość ta wzmocni w nas pokorę, a pokora da ufność i odwagę.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

CHRZEŚCIJAŃSTWO W AFRYCE W OSTATNIM PÓŁWIECZU

Agencja *Fides* ogłosiła cyfry za ostatnie półwiecze, dotyczące rozwoju chrześcijaństwa w Afryce. Otóż w roku 1900 było w całej Afryce około 1.200.000 katolików, z tego poważna ilość immigrantów włoskich, hiszpańskich francuskich w pasie nad Morzem Śródziemnym od Maroka po Egipt. W pół wieku później katolików w Afryce jest już ponad 14.000.000, a najliczniejsi nie są bynajmniej na wybrzeżu, lecz w Afryce Środkowej. Nie dotrzymuje jednak kroku rozwojowi katolicyzmu wzrost liczby kleru, który z liczby 1.735 w roku 1910 wzrósł tylko do liczby 9.402 w roku 1950. Ta dysproporcja pomiędzy świeckimi a duchownymi jest jednym z najpoważniejszych problemów Kościoła w obecnym półwieczu. W tej chwili w około 30 seminariach wyższych studiuje 1.178 studentów teologii. A potrwa jeszcze kilka lat, nim, jako kapłani, wejdą na teren pracy duszpasterskiej; nie wszyscy zresztą, z powodu wielkiego zapotrzebowania na siły nauczycielskie. A potrzeba wielu kapłanów i misjonarzy w Afryce nie tylko dla coraz rosnącej liczby wiernych, ale również, aby odpowiedzieć zagrożeniom czasu. Są nimi: postępujący proselityzm mahometański, żywa działalność misyjna protestancka, a przede wszystkim indyferentny lub ateistyczny materializm, niesiony przez cywilizację przemysłową i wszystkie środki propagandy, przez słowo, przykład, radio, kino i życie codzienne.

NARODY NIE MAJĄ PRAWA DO SAMOBÓJSTWA

Ojciec Edmund Walsh, vice prezydent uniwersytetu w Georgetown w Waszyngtonie ogłosił w *Washington Star* artykuł w sprawie moralnego prawa używania bomby atomowej:

„Jeśli rząd Stanów Zjednoczonych ma słuszne podstawy do wierzenia (to jest *pewność moralną)*, że przygotowuje się atak, wymierzony przeciwko temu krajowi skądkolwiek, wówczas wydaje się, że prezydent Truman byłby moralnie uprawniony do podjęcia środków obronnych, proporcjonalnych do niebezpieczeństwa. Może to oznaczać użycie bomby atomowej. Ani rozum, ani teologia, ani moralność nie wymagają od ludzi czy narodów popełnienia samobójstwa przez żądanie byśmy oczekiwali pierwszego ciosu od potęgi, która nie zna otamowań moralnych, i gdy, jak w naszym wypadku, atak obejmować będzie napewno bombardowanie pociskami atomowymi. Nawet sam Chrystus nie wahał się chwycić powroza, by wypędzić obłudników ze świątyni. Lecz jakże straszliwa odpowiedzialność spoczywa obecnie na wywiadzie wojskowym, na czujności dyplomatycznej i na wszystkich placówkach bezpieczeństwa, zbierających i analizujących informacje w tym „atomowym wieku"?

Wobec parokrotnych wypowiedzi Ojca św. i znanego listu Kardynałów francuskich z ub. roku stanowisko zajęte przez O. Walsh wydaje się budzić zastrzeżenia a conajmniej — z powodu bardzo ogólnikowych ram — silną niepewność moralną.

BOHATERKA RUCHU OPORU

Przełożona zakonu augustianek we Francji Matka Marie Yvonne Aimée Beauvais zmarła w wieku lat pięćdziesiąt w Malestroit koło Vannes w Bretanii dnia 5 stycznia b.r. Była to jedna z wielkich bohaterek francuskiej Résistance w czasie ostatniej wojny i w swym klasztorze, mimo wszelkich węszeń i gróźb Gestapo chroniła wielu współpracowników Ruchu jak i alianckich spadochroniarzy. Zmarła miała 5 wysokich odznaczeń alianckich „za odwagę w sprawie wolności", a więc George Medal, Croix de Guerre, amerykański Liberty Medal, a gen. de Gaulle mianował ją „Kawalerem Legii Honorowej".

KS. PAUL ADENAUER

Wśród wyświęconych ostatnio przez kardynała Fringsa arcybiskupa Kolonii kapłanów, jest jeden z trzech synów kanclerza Niemiec Zachodnich ks. Paul Adenauer.

UŁASKAWIENIE ZBRODNIARZY WOJENNYCH

Jakoś bez komentarzy w prasie katolickiej angielskiej przeszła wiadomość o ułaskawieniu niemieckich zbrodniarzy wojennych, choć np. germanofilski „Catholic Herald" potrafi powtarzać słowo w słowo hitlerowską frazeologię o krzywdzie traktatu wersalskiego wobec Niemiec i powtórzeniu krzywdy po tej wojnie, a polskie Ziemie Zachodnie nazywa „the disputed territories" To też warto zanotować opinię pisma tak nawskroś laickiego jak „Observer", które nie waha się z punktu widzenia moralnego napiętnować posunięcia amerykańskiego.

Pisze „Observer" w nrze 8.331: „Że pewna zmiana w karze dla przemysłowca takiego jak Alfred Krupp, lub generała takiego jak Milch mogłaby być usprawiedliwiona, jest przynajmniej kwestią dyskusji. Ale redukcja wyroków więzienia — często pociąga za sobą natychmiastowe zwolnienie — w wypadkach morderców w obozach koncentracyjnych, „eksperymentatorów" lekarzy i takich, którym udowodniono mordowanie zakładników, wydaje się równie niewskazana jak jest moralnie nie do usprawiedliwienia. Wygląda wprost na deklarację dla świata, że Państwa Zachodnie są gotowe przyjąć *kogokolwiek* jako sprzymierzeńca — co Rosji dostarcza znakomitego materiału do propagandy.

„Widocznym celem tych zwolnień jest zobowiązywać sobie naród niemiecki, ale wydaje się bardzo wątpliwe, czy przeważna część Niemców przyjmie chętnie tych niebezpiecznych szaleńców wśród siebie, lub czy wywrze na niej wrażenie system prawny, który potrafi za jakimś podmuchem zmieniać nastawienie. Co więcej, ten gest wygląda przypadkowo na zrzucenie winy na cały naród niemiecki, kiedy jednym z celów tych procesów było uczynić dokładne rozróżnienie pomiędzy nieświadomymi masami i niewielu winnymi".

JANUSZ RAKOWSKI *(Szwajcaria)*

SYTUACJA ŻYWNOŚCIOWA POLSKI

„WSCHODNI MARS BEZ RACJI MARSZOWEJ"

SZWAJCARSKI tygodnik „Die Weltwoche", charakteryzując przed paru miesiącami zbrojenia krajów wschodnio-europejskich, określił je powiedzeniem, że jest to „Mars bez racji marszowej". W istocie rzeczy, zniszczenia wojenne, gwałtowne przesunięcia odbudowy i rozbudowy gospodarczej na przemysł, kolektywizacja rolnictwa — wszystko to, obok niekiedy niekorzystnych warunków naturalnych, wytworzyło na terenach okupowanych przez Rosję sytuację aprowizacyjną, która jeszcze dzisiaj nie może być zaliczona do najlepszych.

Znana jest ciężka sytuacja żywnościowa Jugosławii, którą ratują dziś Stany Zjednoczone kredytami i dostawami amerykańskiego zboża. Winę za ten stan przypisać należy nie tylko katastrofalnej suszy zeszłorocznej, ale i zbyt radykalnemu nastawieniu jugosłowiańskiego planu 5-letniego 1947 - 1951 na rozbudowę przemysłu i zbrojenia. Z tego samego powodu cierpią również inne t.zw. „demokracje ludowe", związane ściśle z Rosją Sowiecką i na jej polecenie gwałtownie rozbudowując swój przemysł. Na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii, krajach przed wojną o strukturze typowo rolniczej, ludzie dzisiaj nie dojadają. W Budapeszcie zarządzono w styczniu r.b. racjonowanie mąki w ilości zaledwie 1,2 kg. miesięcznie, i cukru — w ilości ledwie 750 gramów; mąka i cukier jest jednak do kupienia na czarnym rynku po podwójnej cenie. Również w Pradze czeskiej zarządzono ostatnio ograniczenia w sprzedaży mąki i podniesiono z dniem 22-go stycznia cenę chleba.

W samym „Mutterlandzie" komunizmu, w *Rosji Sowieckiej*, aprowizacja wewnętrzna kraju, mierzona wyznaczonymi w tej czy innej drodze normami spożycia, układała się w latach powojennych niezadawalająco. Dopiero dobre zbiory i wzrost produkcji hodowlanej w latach 1949 i 1950 pozwoliły na podniesienie niezwykle niskiego standartu życia sowieckiego obywatela. Według świeżo ogłoszonych cyfr wykonania planu gospodarczego ZSSR za rok 1950, spożycie mięsa w tym roku miało wzrosnąć o 49%, tłuszczów zwierzęcych o 47%, cukru o 20%, produktów mlecznych o 30%. Już choćby z samych tych urzędowych sowieckich cyfr można sobie wyobrazić, jak niskim musiał być ten standart, skoro obywatel Rosji mógł w ciągu jednego roku niemal podwoić spożycie pewnych artykułów żywnościowych, które — w normalnych warunkach — jest mało elastyczne.

Mimo wszystkich powyższych obserwacyj — naszym zdaniem — należy być jednak bardzo ostrożnym w wyciąganiu z nich zbyt daleko idących wniosków, co czynią pewne koła zachodnio europejskie, w myśl których wschodni „Mars", uzbrojony, ale nie posiadający „racji marszowej", nie jest jakoby zdolny do zaatakowania Europy Zachodniej.

PRODUKCJA ROLNICZA POLSKI

Przejdźmy jednak do właściwego tematu tego artykułu i zapytajmy się, jak przedstawia się sytuacja aprowizacyjna komunistycznej *Polski*.

Dla oceny tej sytuacji trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim cyfry produkcyjne, które są dostępne oczywiście tylko ze źródeł oficjalnych, nie zawsze wiarygodnych. Z cyfr tych wynika, że rozwój produkcji rolniczej w Polsce powojennej był może nieco pomyślniejszy niż w innych rosyjskich krajach satelickich, nie mniej jednak również niedostateczny. Przyczyną tego stanu rzeczy była tutaj gwałtowna polityka uprzemysłowienia kraju z jednej strony, oraz kolektywizacja rolnictwa z drugiej.

Polski plan 3-letni 1947 - 1949 na odcinku rolnictwa nie został wykonany w zamierzonych rozmiarach. Według „Gospodarki Planowej" Nr. 7 z 1950 r. produkcja przemysłowa w wielkich . średnich zakładach miała wzrosnąć w r. 1949 do poziomu (wskaźnik) 177 w porównaniu ze 100 w czasach przedwojennych, podczas gdy produkcja rolnicza nie osiągnęła poziomu przedwojennego, wykazując wskaźnik 86 w porównaniu ze 100 przed wojną. Oczywiście, trzeba pamiętać o dokonanych po wojnie zmianach strukturalnych na ziemiach polskich: Ziemie Odzyskane nie zrekompensowały całkowicie rolniczo ziem utraconych, podniosły natomiast przemysłowy potencjał dzisiejszej Polski. Przy zmniejszonej ludności i wskaźniku 86 produkcja rolnicza powinna być zupełnie wystarczająca na pokrycie potrzeb żywnościowych kraju, nie dając jednak — jak to było przed wojną — zbyt wielkich nadwyżek eksportowych. Nie mniej, w okresie wykonywania planu trzyletniego, zwłaszcza w latach 1947 i 1948, Polska, podobnie jak inne kraje satelickie, cierpiała na dotkliwe braki zarówno w zakresie zboża jak i mięsa i tłuszczów. Zboże — próbowano uzyskać ze Stanów Zjednoczonych, wobec nieprzystąpienia jednak do Planu Marshall'a musiano się zadowolić zastępczymi i uzyskanymi z trudem niewielkimi partiami zboża rosyjskiego. W gospodarce mięsnej i tłuszczowej musiano wprowadzić ogromne restrykcje, uruchamiając jednocześnie t.zw. „plan H" dla poparcia produkcji hodowlanej.

W nowym planie 6-letnim na okres 1950 - 1955 wyznaczono polskiemu rolnictwu zadanie zwiększenia jego produkcji o dalsze 50% w porównaniu z rokiem 1949, podczas gdy przemysł ma podwyższyć swoją produkcję o 158%. W dn. 18 stycznia ogłoszono *cyfry wykonania Narodowego Planu Gospodarczego na r. 1950*, jako pierwszy rok Planu 6-letniego. Wzrost produkcji podano, jak zwykle, nie w ilościach, lecz we wskaźniku i to wyprowadzonym również nie od ilości, lecz wartości obliczonej w t.zw. „cenach porównywalnych", które są tajemnicą Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Z tym zastrzeżeniem trzeba przyjąć, że ogólna produkcja rolnictwa polskiego miała wzrosnąć w r. 1950 w porównaniu z r. 1949 o około 13%, z tego produkcja roślinna (przy powiększeniu powierzchni zbiorów o 2.5%) o około 6%, a produkcja zwierzęca o ok. 24%.

Komunikat stwierdza dalej, że ogólna wartość produkcji rolnej t.zw. „gospodarki socjalistycznej", a więc Państwowych Gospodarstw Rolnych i utworzonych dotychczas 2.200 kołchozów, „wzrosła w cenach porównywalnych o około 35%". Te t.zw. socjalistyczne gospodarstwa rolne, nowoczesne wielkie fabryki produkcyjne z robotnikami na miejscu wolnych chłopów, obejmują dziś około 20% powierzchni uprawnej. Ponieważ ogólna produkcja rolna wzrosła w r. 1950 o 13%, a produkcja Państwowych Gospodarstw Rolnych i Kołchozów o 35%, z tego można wyprowadzić wniosek, że wytwórczość prywatnych gospodarstw chłopskich, na około 80%-tach ziemi uprawnej, była znacznie niższa w swym wzroście od przeciętnej 13%.

AKCJA SKUPU ŻYWCA I ZBOŻA

Trzeba przyznać, że komuniści w Polsce umieją czerpać z doświadczeń sowieckich. Kolektywizacja rolnictwa i całkowita likwidacja wolnych chłopów, tych „bogaczy" i „szkodników" wiejskich, jest nieuchronną koniecznością w systemie leninizmu-stalinizmu. Komuniści muszą zniweczyć wszelką wolność osobistą i gospodarczą i sprowadzić wszystkich do poziomu „jednoklasowego społeczeństwa" robotników, zależnych od państwa, gdyż inaczej nie zapanowaliby nad klasą robotników przemysłowych. Wiedzą oni jednak ,że kolektywizacji rolnictwa, przynajmniej w pierwszym okresie, towarzyszy zmniejszona ochota chłopów do pracy i w konsekwencji — zmniejszanie się produkcji. W Rosji Sowieckiej akcji tej towarzyszył głód i drakońskie wydzieranie chłopom resztek zboża i artykułów hodowli dla pokrycia potrzeb miast. W Polsce, przy rzuceniu wszelkich środków technicznych, jak narzędzia i traktory, na rzecz pracy w gospodarstwach skolektywizowanych, pilnuje się dobrze chłopów wolnych, aby siali, zbierali i hodowali, a jednocześnie zabiera im się szybko produkt ich pracy do magazynów państwowych. Dzieje się to w formie t. zw. skupu uspołecznionego produktów rolnych, przede wszystkim żywca i zboża.

Całkowite upaństwowienie skupu żywca rzeźnego wprowadzono z dniem 1 lutego 1949 r., kiedy to odsunięto od bezpośrednienich zakupów na wsi hurtowników prywatnych i rzeźników. Uchwałą rządu z dn. 26 lipca 1950 r. związano mocno w rękach państwowych skup zboża i ziemniaków z kampanii zeszłorocznej. W „skupie" tym współdziałają t. zw. gromadzkie „trójki aktywistów" komunistycznych, które wyznaczają chłopom kontyngenty ich dostaw. Całej akcji towarzyszy niesłychanie ostra propaganda przeciwko zamożniejszym wolnym chłopom. Na wsiach pokazują się grupki komunistów z transparentami: „Idziemy do bogaczy po zboże". Akcja ta, mimo wszelkich środków nacisku, nie daje spodziewanego rezultatu. W dniu 22 stycznia ogłoszono zastosowanie nowego rygoru na t.zw. opornych: zarządzono opłacenie przez chłopów zaliczki podatku gruntowego w wysokości 60% wymiaru, z tym, że stawkę tej zaliczki podwyższa się dla tych, którzy 28 lutego r.b. nie wykonają wyznaczonej im dostawy zboża.

DLA KRAJU, CZY SOWIECKIEGO „MARSA"?

Rezultat tej akcji „skupu" jest niesłychanie ciężki dla polskiej wsi. Wieś ta zostaje doszczętnie ogołocona ze zboża, a w wielu wypadkach również z produktów hodowli, którymi nie może już swobodnie dysponować. Na przednówku r.ub. w wielu okolicach kraju brakowało już mąki i chleba i władze musiały uruchomić ulgową sprzedaż mąki z magazynów państwowych dla chłopów biedniejszych, pozostawiając oczywiście zamożniejszych ich własnemu losowi. Na przednówku r. b. będzie jeszcze gorzej. Wsi polskiej, producentowi środków spożywczych, zagraża głód.

Czy jednak nastąpi polepszenie się sytuacji w miastach? Jest to mało prawdopodobne. Zasadniczo, jak zaznaczyliśmy, obecna produkcja rolnicza kraju, jeśli jej ogłaszane urzędowo cyfry odpowiadają rzeczywistości, powinna całkowicie wystarczyć na dostatnie utrzymanie zmniejszonej do 24 milionów głów ludności. Rzecz jednak w tym. . . że ta produkcja nie idzie w całości na pokrycie potrzeb wewnętrznych. Gros tej rekwirowanej na wsi wytwórczości zbożowej i hodowlanej służy dwom celom: 1) eksportowi zagranicznemu, w dużej części do Rosji Sowieckiej, w zamian za sprowadzane maszyny i surowce dla realizacji planów uprzemysłowienia; 2) magazynowaniu, zgodnie z poleceniami Kominformu, na cele militarne. Coraz głośniej mówi się o tym, że magazynowanie to odbywa się nie w Polsce, lecz w dużej części również na terenie Rosji Sowieckiej w ramach tajnych układów i poleceń, w zamian za dostarczany sprzęt wojenny, lub niezależnie od tych dostaw.

To samo dzieje się w innych krajach związanych z Moskwą. Dlatego też, podkreślamy jeszcze raz, sygnalizując trudności wewnętrzno-aprowizacyjne krajów za żelazną kurtyną, należy być dziś ostrożnym w wyciąganiu z tego faktu zbyt daleko idących wniosków. Przyczyną tych trudności jest właśnie m. in. fakt, że gwałtownie magazynuje się na Wschodzie Europy rezerwy żywnościowe dla sowieckiego „Marsa". W Polsce np. ogłoszono z biciem w noworoczne dzwony t. zw. „zniżki cen", manewr propagandowy dla poprawienia nastrojów po nieszczęsnej reformie pieniężnej z listopada, przez którą skonfiskowano ludności 2/3 kapitałów pieniężnych. Ciekawe jednak, że zdecydowano się wśród artykułów żywnościowych jedynie na zniżkę o 10% ceny mięsa wieprzowego oraz o 5% ceny wędlin i tłuszczu wieprzowego. Nie zniżono ani ceny cukru, ani wielu innych towarów, które wykazują wielki wzrost ich produkcji w r. 1950. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że zniżka cen spowodowałaby zwiększony popyt na te towary, potrzebne dziś komunistom w pierwszym rzędzie na eksport i do magazynów wojskowych.

Janusz Rakowski

DRAŻLIWA SPRAWA

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI I MASONERIA

NIEDAWNO temu Rev. Walton Hannah pastor z West Healthy (Sussex) ogłosił w anglikańskim czasopiśmie *Theology* artykuł, który wywołał niemałe poruszenie w kołach angielskiej i irlandzkiej masonerii. Jest to bowiem drastyczne napiętnowanie nie tylko wolnomularstwa jako niechrześcijańskiej, gnostyckiej herezji, ale również części hierarchii i kleru anglikańskiego — za ‚pogańskie' i ‚heretyckie' praktyki. Jak wiadomo bowiem, są — wyrażając się oględnie — podstawy do przypuszczenia, że nawet anglikański arcybiskup Canterbury, conajmniej dziesięciu biskupów, pewna część kleru i wiernych, nie mówiąc o angielskiej arystokracji i „hierarchach" życia politycznego — należy do masonerii. W ostatnim roku ilość lóż afiliowanych do Wielkiej Loży Anglii wzrosła o 100 i wynosi obecnie 6.200. W Szkocji np. masoneria jest tak liczna, że odmawia się nieraz przyjęcia do loży niektórych zespołów podając jako powód, że w danej grupie już i tak jest *za wielu masonów*!

Autor artykułu stwierdza, że tajność masonerii i dochowywanie sekretów przez „braci" spowodowały powściągliwość opinii w sprawie wierzeń i praktyk tego zjadliwego dla chrześcijaństwa ruchu, obecność zaś kleru a nawet biskupów anglikańskich w nim wytworzyła wśród angielskich nie-masonów przekonanie, że to tylko dobroczynne stowarzyszenie, które dla wzmożenia pewnego zaciekawienia wokół siebie, zaprowadziło kilka tajemniczych obrzędów. „Niech wolno będzie szczerze przypuścić, że wielu, może nawet większość masonów, którzy są wtajemniczeni, przeszli i osiągnęli trzeci stopień Mistrza Masońskiego w doskonale dobrej wierze, tak często idącej w parze z partacką teologią — i nie zdają sobie sprawy, że jest w niej coś więcej, niż to" (to znaczy, niż humanitarne stowarzyszenie z kilku tajemniczymi praktykami).

Te obrzędy „tajemnicze" a po większej części bzdurne, mówi dalej Rev. Hannah, cały ten egzotyczny symbolizm moralny geometrii, astronomii, architektury i narzędzi kamieniarskich wydaje się braciom nie tylko niesprzeczny z chrześcijaństwem, ale uzupełniający je („chociaż tak często jest zwyczajnym jego zastępstwem"). Tymczasem nie trudno wykazać, że masoneria jako system nauczania jest „formalnie heretycka". Rzekome posiadanie sekretnych sztuk i tajemnych misteriów, których istnienie wtajemniczony jest zobowiązany uroczyście nigdy nie wydać podkarą, że „język zostanie mu wyrwany, gardło rozcięte od ucha do ucha a ciało pochowane w ruchomych piaskach morza"; dualizm światła i ciemności, synkretyzm wierzeń żydowskich, klasycznych i pogańskich, używanie tekstów apokryficznych i legendarnych, poszukiwanie Zagubionego Słowa, „święte i tajemnicze imię Prawdziwego i Żyjącego Boga": — wszystkie te nauki masońskie aż krzyczą od ducha gnozy.

Masoneria utrzymuje, że nie jest religią i że z żadnymi wogóle wierzeniami nie koliduje, że wiara w Boga jest istotnym prerekwizytem wtajemniczenia. W lożach angielskich używa się Biblii, ale może być ona zastąpiona pismami jakiejkolwiek innej religii „tak, że Żyd może przysięgać na Pięcioksiąg, mahometanin na Koran itd."

Twierdzenie, że przysięgi na masonerię nie są sprzeczne z żadną religią zaopatruje Rev. Hannah uwagą, że jest to możliwe jedynie w takim wypadku, gdy czyjeś wierzenia religijne są do tego stopnia synkretycznym zlepkiem, iż mogą objąć również cześć dla bóstwa, które nie jest ani Jahwą Hebrajczyków ani Bogiem w Trójcy Jedynym katolików". „Oświecony laik, mówi dalej autor, może być w dobrej wierze niezdolny do tych rozróżnień. Dla niego Bóg jest Bogiem, wszystko jedno czy zwraca się do niego jako do Wielkiego Architekta, albo Wielkiego Geometry Wszechświata, albo jako do Ojca, Syna i Ducha Św. — ale jednakowoż pozycja kapłana-masona albo pozycja masona-biskupa wydaje się daleko mniej łatwa do obrony".

Analizując następnie stopnie wtajemniczenia i całą obrażającą rozum ludzki szopę tajemniczości w połączeniu ze straszliwymi przysięgami i zaklęciami, pastor Hannah pisze: „Co już najmniej można o tym wszystkim powiedzieć, to to, że jest się w kłopocie, gdy chce się zrozumieć pozycję tych, którzy w niedziele przewodniczą w odmawianiu Credo, a w dni powszednie biorą udział w tych dziwacznych misteriach".

Jak dotąd organ „High Church'u" milczy o śmiałym wystąpieniu pastora, który w klasycznym kraju masonerii wystąpił z druzgocącą krytyką fartuszkowców wogóle a zwłaszcza ubranych w fartuszki masońskie duchownych i biskupów anglikańskich! Zato w ostatnim numerze zostało zamieszczone kazanie (na Pięćdziesiątnicę) na temat jedności Kościołów, w którym znowu czytamy dumne i pewne siebie stwierdzenia, jak to to anglikanizm „by the accident of history, may be, but also through the blood of her martyrs, unquestionably, has preserved her Catholic heritage in addition to the liberty and sound learning bequeathed by the Reformation. She has, it seems by Providence, been assigned the middle of the road". . .

I w Kościele katolickim nie brak naiwnych duchownych i zakonników podobnych do dziekana z Canterbury, lub głoszących że Eucharystia jest tylko pobożnym symbolem nad pustką, nie zawiera bowiem re-

(Dokończenie na str. 4-ej)

PADRAIC H. PEARSE

Przełożył: WIESŁAW PISARCZYK

IOSAGAN*)

SIEDZIAŁ Stary Maciej przy drzwiach, a kto ino drogą szedł — myślał sobie, że to siedzi podobizna z kamienia lub marmuru, albo że to umrzyk. Nie podobna było dać wiary, żeby żyjący człowiek poradził tak wytrzymać w spokojności i cichości takiej. Głowę miał podniesioną wysoko, a ucho nadstawione do słuchania. A było wiele do słuchania dla osoby, co była baczna do słuchania. Toteż Stary Maciej słyszał jak fale grzmią na skałach, jak potok mruczy płynąc w dół po kamieniach, jak bydło porykuje na pastwisku, jak czapla skrzeczy z wysokiego, kamiennego brzegu i jak wesoły śmiech dzieci dolatuje go z łąki. Choć wszystkie te pogłosy słodkie były dla Macieja, nie im się teraz przysłuchiwał z takim skupieniem. Po prawdzie to się wsłuchiwał w dźwięk dzwonu, co w cichości porannej szedł do niego z wiatrem i naród na Mszę zwoływał.

A właśnie w ten sam czas wszystek naród walił na Mszę. Wszystko szło pobok Starego Macieja — w pojedynkę, parami, kupkami. Chłopaki biegiem i skokiem. Dziewuchy ze świergoleniem wesołym. Baby z cichutkim trajlowaniem. Chłopy milczkiem. Tak ci w każdą niedzielę wędrują tą drogą. Tak ci stary Maciej siedzi na zydlu, i siedzi, i patrzy dopóki nie znikną z widoku. Tego poranka mijają go jak zwyczajnie. A starowina wciągle patrzy za nimi dopóki nie ucichnie ostatni odgłos i rozruch, dopóki ostatnia kupka ludzi nie spadnie za kościelne wzgórze, i nic już nie widać jak tylko długą, prostą i białą drogę, a we wsi nie ma ni żywego ducha — chyba że jaki chory w łożu albo dziecka, co zbytkują sobie na zieleninie. No i on sam, co sobie teraz siedzi przy drzwiach.

Do kościoła Stary Maciej nie chadzał. Okrągła kopa lat już minęła, kiedy ostatnią „słodką Mszę" słyszał. Był krzepkim, rześkim wyrostkiem, kiedy ostatni raz, na ludzkich oczach, znakiem krzyża się przeżegnał. Dzisiaj z niego zeschnięty i zdarty chłop, z resztką białych włosów, z bruzdami na czole i ze zgiętymi barkami. Kopę lat już minęło a on ni razu nie zgiął kolana przed Bogiem, ni jednej modlitwy do Zbawiciela nie zaniósł, ni razu nie podziękował swojemu Zbawcy. Taki to już był dziwaczny człowiek z tego Starego Macieja.

Nikt nie znał powodów tego niechadzania na Mszę. Jedni ludzie mówili, że on nie wierzy, żeby tam był Bóg. Drudzy ludzie powiadali, że za młodu ciężko zgrzeszył, i, kiedy ksiądz odpuszczenia dać mu nie chciał, to taka go złość opanowała, że sobie zaprzysiągł, iż nie pójdzie ani do księdza, ani do kościoła. A jeszcze inni ludzie powiadali (ino szeptem, przy kominku, kiedy sami starzy bajdali między sobą dziecka ułożywszy do spania), ci inni powiadali, że duszę swoją zaprzedał jakiemuś tam Wielkiemu, którego spotkał razu jednego na wierzchu jednej góry, co się nazywa Cnoc-a'-daimh. I mówili, że to ten Wielki nie daje mu chodzić na Mszę. Trudno mnie samemu powiedzieć, gdzie prawda a gdzie łganie w tych opowiastkach o Macieju, ale tę jedną pewność mam, że najstarsi ludzie we wsi nie pamiętają, żeby widzieli Starego Macieja na Mszy. Cuimin O' Niadh, ten co mu to się zmarło dwa roki temu w dziewięćdziesiątce, on to opowiadał, iż szczunem będąc — Macieja na Mszy widywał.

Nikt, Boże broń, nie mianował starego Macieja człowiekiem złym. Dzień byś piechotą złaził, zanim byś spotkał takiego uczciwego, prostego, zwyczajnego chłopa. Złe słowo nigdy mu z gęby nie wypadło. Do picia ani do kompanii ochoty nie miał, ani też do złota czy majątku. Chociaż był biedny, zawsze się dzielił z tymi, co jeszcze mniej mieli od niego. Względem słabowitych był litościwy, a serce miał łaskawe dla nędzarzy. Drudzy ludzie trzymali go w poważaniu i honorze. Baby, dziecka i stworzenia domowe okropnie bardzo go lubiły, a i on je miłował tak jak wszystko, co dobroczynne było i miało serce czyste.

Stary Maciej wolał babskie gadanie od chłopskiego, ale mowę chłopców małych i dziewcząt przenosił ponad to chłopskie i babskie gadanie. Był zwyczajny mawiać, że niewiasty są bardziej spostrzegawcze aniżeli chłopy, a dzieci są bardziej spostrzegawcze od chłopów i bab razem wziętych. Wśród tych niedorostków spędzał najsporszą część swojego wolnego czasu. Miał sobie zwyczaj w kącie chałupy siadywać, bajdy im opowiadać i bajdy od nich wyciągać. O, jakie cudowne były tę jego bajdurzenia! Nikt na świecie nie umiał tak jak on opowiadać „Siwkowych przygód". On był jedynym we wsi starym człowiekiem, co akuratnie pamiętał historię „O kurce i mysikróliku". Ino on zdolen był dzieckom prawdziwego pietra napędzić, kiedy im recytował „O dwugłowym potworze". Ino on potrafił je rozłaskotać do śmiechu, jak się rozgadał o tym, co jeden kobziarz nie nawyprawiał się na „Ślimakowym Zamku"! A co to za piosenki miał zawsze w zanadrzu! Chorego berbecia do snu potrafił ululać takim:

Sza, cicho, sza — mój ty skarbie śpij.
Łątki powychodziły na dolinę!

Cała chałupa dziecek aż boki ze śmiechu zrywała, kiedy on opowiadał:

Hu, dudu, dam, kotek i jego mama
Na smoku pojechali do Galway!

Nikt nie znał takich śmiesznych śpiewek, nikt nie zadawał takich trudnych i ciężkich pytań i takich cudownych zagadek! A te jego zabawy! Jaka osoba, jaki chłop, baba albo dziecko, mogły się porównać z nim, jak on prowadził zabawę w „Lurabog, Larabog", albo w „An Ruidhean Bhalbh"?!

W pogodny dzień zobaczysz jak Stary Maciej i jego kompania niedorostków chodzić będzie po pochyłości wzgórza albo po torfowiskach, jak on im będzie objaśniał jak żyją mrówki czy tam kornik-drukarz, jak bajdy będzie zmyślał o jeżu czy czerwonej wiewiórce. Innym razem wszystko towarzystwo wsiada do łodzi, stary człowiek bierze za jedno wiosło, jakiś, co to ledwie od ziemi odrósł, pędrak — chwyta się za drugie, a jakaś dziewczyneczka usiądzie sobie przy sterze i steruje. Zdarzy się poniekiedy, że ludzie pracujący na nadbrzeziu posłyszą ochotne pokrzykiwania dziecek dolatujące od wylotu przystani. I też się zdarza, iż mogą posłyszeć głos Starego Macieja:

Oho, mój korabiku, o!
Oho, moja łódeczko, o!

Od czasu do czasu na strach się matkom zbiera, i tak zaczynają gadać między sobą, że dziecka nie powinny się tyle czasu zabawiać ze Starym Maciejem, „co to nigdy ni na Msze, ni do księdza nie chadza." Razu jednego taka jedna wyklarowała takie swoje myśli Ojcu Sean. A ksiądz odezwał się do niej w takie słowa:

— Wy, matko, nie pchajcie palców między te biedne dzieciska, — on powiada, — już im tam nie potrza lepszej kompanii.

— Ale, Ojcze przewielebny, przecie powiadają, że on nie wierzy w Boga!

— Niejeden ci jest dzisiaj święty na niebiosach, co tam kiedyś za dni swego żywota jakiś czas w Boga nie wierzył. I słuchajcie mnie, matko. Gdyby Stary Maciej nawet nie miał w sobie miłości do Boga (o czym my obydwoje nie wiemy), to czy nie jest wspaniała ta jego miłość, jaką on żywi do najczystszej i najpiękniejszej rzeczy przez Boga stworzonej — jego miłość do lśniącej duszy dziecka! Sam nasz Zbawiciel i najsławniejsi święci na niebiosach tak samo miłują te maleństwa. Trudno to powiedzieć, ale może tak się stanie, że jeszcze te dzieci przyprowadzą Starego Macieja do kolan naszego Zbawcy.

I na tym to gadanie wtedy stanęło.

. . . . . .

W ten niedzielny poranek stary człowiek słuchał kościelnego dzwonu dopóki nie przestało dzwonić. A jak przestało dzwonić, to westchnął jak osoba, co jest zmordowana i żałosna. I wtedy się obrócił do kupki chłopaków, co zbytki wyczyniali między sobą wedle rozdroża, na kawałku trawy, który Maciej nazywał zieleniskiem. Stary człowiek znał na pamięć każdziutkiego kędzierzawca czy bosonoga wśród tych malców. Nie trza było dla niego lepszej rozrywki, jak siedzieć tutaj i siedzieć, i patrzyć na nich i im się przysłuchiwać. Kiedy ich rachował i oglądał, który jest obecny a któren na Mszę poszedł z dorosłymi, kiedy tak liczył, spostrzegł jedno dziecko, jakiego nigdy tutaj nie widział. Był to taki mały brązowy chłopczyna, co miał na sobie białą przyodziewę jak każdy tutejszy malec, bez butów był i bez czapki na głowie jak to jest zwyczajne na zachodzie kraju. A na twarzy ten chłopczyna był tak jasny jak słońce, a Staremu Maciejowi się widziało, jakby to rzec, że jakby promienie jasności wychodziły z jego głowiny. A może to słoneczko tak świeciło na jego włosach?

I dziwował się stary człowiek jak patrzył na to dziecko, bo nie słyszał, żeby jakieś obce przyjechały do wsi. Już chciał się ruszyć z miejsca wypytywać o niego, kiedy się rozruch zrobił i gwar narodu, co się już ze Mszy zaczął wysypywać. Aż się Maciej zdziwił, że mu tyle czasu zeszło na tym przypatrywaniu się dziecińskim zbytkom! Co poniektóry przechodząc pozdrowi go, a on pozdrowi go nawzajem. Kiedy na kupkę swoich chłopaków się obejrzał, tego dziwnego malca już nie było.

Jedną niedzielę później Stary Maciej siedział sobie przed drzwiami jak zwyczajnie. A naród ze wsi, czego zwyczaj, znowu walił na Mszę, a niedorostki znowu hasały i skakały na zielenisku. I ten dziwny malec też z nimi hasał i skakał. Maciej mu się przypatrywał długo, długo, bo całym sercem polubił go przez wzgląd na piękność tej osoby i jasność oblicza. Na ostatku skrzyknął jednego z chłopaków:

— Coilin, co to za chłopczyna, co go tu widzę już ze dwie niedziele wstecz? Ten tam z tą brązową głową. Ale miarkuj się, nie, nie ten rudy! Nie wiem czy czarny jest czy jasny, bo to słońce tak się dziwnie na nim pali! Widzisz go teraz? Ten, co jakby na nas chciał teraz lecieć.

— Ten? A, to Iosagan, powiada malec.

— Iosagan?

— No bo tak sam siebie przezywa.

— A co za jedni ci jego starzy?

— Nie wiem, ale on mówi, że jego ojciec to jakiś król.

— Gdzie on mieszka?

— Nigdy nam o tym nie mówił, ale powiada, że jego dom niedaleko stąd.

— A czy on tak często obcuje tutaj z wami?

— Tak, wtedy jak się bawimy ze sobą, tak jak dzisiaj. Ale jak starsi są, to on odchodzi. O, patrz! Już go nie ma!

Stary człowiek popatrzył i na zielenisku zobaczył tylko swoich chłopaków. Malca, co go ten chłopiec nazwał Iosagan, nie było. W ten sam czas głosy się rozległy i rozgwar narodu, co ze Mszy powracał.

. . . . . .

Następnej niedzieli wszystko tak samo było, kropla w kroplę, jak te dwie niedziele wstecz. Wedle zwyczaju ludzie szli do kościoła, a stary człowiek i dzieci we wsi sami zostali. Serce Starego Macieja aż podskoczyło we wnętrzu, kiedy znowu zobaczył między nimi Świętego Malca.

Wstał. Podszedł i stanął koło Niego. Postał tak chwilę, stojąc bez ruchu, a potem wyciągnął ku Niemu obydwie ręce i odezwał się po cichu:

— Iosagan!

Malec usłyszał go, podszedł ku niemu, biegnąc.

— Chodź-że no ino tutaj, i posiedź sobie krzynkę na moich kolanach, Iosagan.

I Malec chwycił tę chudą, kościstą rękę starego człowieka, i bok w bok, poszli sobie obydwa poprzez drogę. Stary Maciej usiadł na krześle i przyciągnął Iosagana do piersi.

— A gdzież Ty mieszkasz, Iosagan? — powiada, a ciągle mówi cichutko.

— Nie tak daleko stąd jest Mój Dom. Dlaczego nie przyjdziesz Mnie nigdy odwiedzić?

— Bałbym się w królewskim domu. Bo mówią, że Twój Ojciec to Król.

— Tak. Najwyższy Król całego świata. Ale nie ma się Go co bać. On taki dobry jest i miłościwy!

— Boję się, bom nie trzymał Jego praw.

— No to poproś, żeby ci wybaczył. Ja i Moja Matka wstawimy się za tobą.

— Szkoda, żem Cię przedtem nie widział, Iosagan. Gdzieś Ty się do tego czasu obracał?

— Zawsze tutaj bywałem. Zawsze podróżuję po drogach, po górach chodzę i morskie fale przecinam. Jestem z narodem, kiedy się gromadzi w Moim Domu. I jestem z dziećmi, co się wtedy bawią po drogach.

— Za bardzo byłem płochliwy, albo za bardzo dumny, żeby pójść do Twego Domu, Iosagan. Alem Cię znalazł między dziećmi.

— O każdym czasie i w każdym miejscu, gdzie ino dzieci się bawią, Ja jestem z nimi. Czasami mnie widzą, a czasami to mnie nie widzą.

— Ja zobaczyłem Cię dopiero niedawno.

— A bo dorośli są ślepi.

— I dane mi było oglądać Cię, Iosagan?

— Ojciec pozwolił Mi, żebym się tobie ukazał, jako żeś ty kochał Jego dzieci.

Właśnie ludzie zaczęli powracać ze Mszy, i słychać było ich głosy.

— Muszę teraz od ciebie odejść.

— Pozwól mi pocałować rąbek Twego płaszczyka, Iosagan.

— Pocałuj.

— Czy Cię jeszcze kiedy zobaczę?

— Zobaczysz.

— Kiedy?

— Dzisiejszej nocy.

Te słowa rzekł i odszedł.

— Dzisiejszej nocy Go zobaczę! — mówi Stary Maciej, i idzie do domu.

. . . . . .

Noc przyszła mokra i burzliwa. Słychać było jak olbrzymie fale łamały się z grzmiącym rykiem o brzeg. Drzewa dookoła kościoła chwiały się i uginały pod siłą wiatru. (Kościółek znajduje się na wzgórku, co spada stokiem do morza).

Ojciec Sean zamykał właśnie książkę, i miał się zabierać do Różańca, kiedy usłyszał jakiś głos, jakby ktoś pukał do drzwi. Przysłuchiwał się przez chwilkę. Potem znów ten głos usłyszał. Wstał od kominka, podszedł do drzwi i otworzył je. Jakiś chłopczyna stał na progu, jakiś malec, jakiego ksiądz Sean na oczy przedtem nie widział. Odzienie miał na sobie białe, bez butów był i bez czapki. Księdzu się widziało jakby promienie światła szły od twarzy tego chłopca i okrążały jego głowę. Jakby światło księżyca spływało na jego brązową, nadobną głowę.

— Któż to? — pyta się Ojciec Sean.

— Jak najśpieszniej wrzućcie na siebie jakąś przyodziewkę, Ojcze, i bieżcie ku wschodowi, do chaty Starego Macieja, który jest w objęciach śmierci.

Księdzu nie trza było powtarzać tego dwa razy. Powiada do malca:

— Ty sobie tu przysiedź krzynkę, a ja się przygotuję.

Ale kiedy wrócił, posłańca już nie było.

Ojciec Sean wziął nogi porządnie za pas i po niedługiej chwili stanął u celu, choć wiatr był przeciwny i padało srodze. Zobaczył, że się światło pali w chacie Starego Macieja, odsunął zasuwkę i wszedł do środka.

— Któż to do mnie przychodzi ?— odzywa się jakiś głos z łóżka, na którym leżał Stary Człowiek.

— Ksiądz.

— Tak chciałem z Wami mówić Ojcze. Usiądźcie sobie tutaj koło mnie.

Głos starego słabiutki był, a słowa wymawiał bardzo wolno.

Ksiądz sobie usiadł i wysłuchał historii Starego Macieja od początku do końca. Co tajemne było w tym starym sercu, obnażyło się przed sługą Bożym teraz, w pośrodku nocy. Kiedy się spowiedź skończyła, przyjął Maciej Komunię i namaszczony został.

— A kto Ojcu powiedział, że ja go potrzebuję? — powiada słabym, cichym głosem, kiedy już było po wszystkim. Prosiłem Boga, żeby Ojciec przyszedł, ale nie miałem kogo posłać.

— Ale, co tam wygadujecie, Macieju! Przecież wysłaliście po mnie posłańca! — powiada ksiądz, a przy tym dziwota go wielka ogarnia.

— Nie posyłałem nikogo.

— Nie? A przecież jakiś chłopczyna przyszedł, zapukał do drzwi i powiedział, że potrzebujecie mojej pomocy.

Stary człowiek usiadł na łóżku. I błysk pokazał się w jego oczach.

— Ojcze, a co to był za chłopczyna?

— A taki delikatny malec, co miał biały płaszczyk na sobie.

— I tak jakby jaką jasną mgiełkę dookoła głowy miał?

— A miał. I dlatego dziwno mi było wielce.

Stary Maciej popatrzył w górę, a uśmiech pokazał się na jego ustach.

— Iosagan!

To słowo wyrzekł i na łoże upadł, na wznak. Ksiądz podszedł do niego łagodnie i oczy mu zamknął.

Padraic H. Pearse

Przekład: *Wiesław Pisarczyk*

*) *Rzecz napisana w oryginale po gaelicku. — Przyp. Red.*

DRAŻLIWA SPRAWA

(Dokończenie ze str. 3-ej)

alnej obecności Jezusa Chrystusa itd. Nie tutaj też jest w anglikanizmie bieda najgłówniejsza boć ‚czerwonych dziekanów' katolickich też nie brak. Ale w Kościele istnieje Żywe Magisterium, głoszące zawsze niezmienną i całą prawdę Bożą, strzegące od błędu, wyjaśniające nieomylnie Depozyt wiary i wiodące wiernych drogą pewną. Pomijając już nawet to, że anglikanizm nie ma święceń, nie ma N. Ofiary i tych środków zbawienia, które zostawił Chrystus — a czasami nawet chrzest jest u nich nieważny:— w swej teologii odrzuca wszelki autorytet Kościoła nauczającego i wykładającego wiernym zasady wiary. Dlatego istnieją w nim tacy ludzie jak, — z jednej strony dr. Barnes, biskup Birmingham, który nie wierzy w bóstwo Chrystusa, wypowiadając na ten temat dawno gdzieindziej przezwyciężone i odrzucone teoryjki, głosi wolność zadawania śmierci „z litości" i zabijania dzieci kalekich, i t.zw. świadome macierzyństwo; a z drugiej strony duchowni i nawet biskupi, pod których nauczaniem podpisałby się katolicki teolog (nie mówiąc już o tym, że nie brak wśród nich takich, którzy posiadają ważne choć nielegalne święcenia, otrzymane od prawosławnych lub starokatolików). Anglikanie odrzucają z zasady Autorytet Nauczający w sprawach wiary i, przy narodowej odrazie do logiki i braku zaufania do autorytetu, godzą się ze zdaniem o nich pewnego obserwatora kontynentalnego, który powiedział: „Jedynym dogmatem, jakiego się trzymają namiętnie jest ten, że nic nie może obowiązywać chrześcijan, co jest niestrawne dla Anglika"...

(W imię sprawiedliwości trzeba coprawda dodać, że taki sam nacjonalizm *in spiritualibus* był i jest jeśli nie otwarcie głoszony to jednak praktykowany przez miliony katolików, a nawet przez niektóre całe narody katolickie)...

jt.

ROK II | ŻYCIE AKADEMICKIE | Nr 12 (20)

PRZECHADZKI PO POLSKIM LONDYNIE

W pewne styczniowe, niedzielne popołudnie udałem się do odległego Clapham South, by zapoznać się z życiem młodzieży pracującej, skupionej w dwóch bursach prowadzonych przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Najpierw odwiedziłem bursę męską. W nieopalanej sali bilardowej spotkałem kilku młodych ludzi, którzy opowiadali mi swe przeżycia z Rosji, Bliskiego Wschodu czy Afryki, by potem przejść do spraw związanych z bursą.

Wszyscy są bardzo młodzi; najstarsi sięgają 24 lat. Większość z nich nie ma rodziców ani krewnych, są w pełni samodzielni. W bursie istnieje samorząd, do którego należą wszyscy mieszkańcy, a więc pięćdziesiąt parę osób. Płacą składki (6. tygodniowo), mają kasę pożyczkową, sekcję sportową, prowadzą sklepik, odbywają zebrania. Ambicją Zarządu jest rozbudowanie sekcji sportowej, ale brak odpowiedniego funduszu jest poważną przeszkodą. O dalszej nauce myśli niewielu. Wieczory spędzają we własnej świetlicy lub sali bilardowej no i oczywiście w kinie. Prasa polska dociera do nich, ale bardzo skąpo, zaś dobór pism angielskich pozostawia dużo do życzenia.

Bursa żeńska położona jest w pobliżu, przy tejże samej Nightingale Lane i zorganizowana na podobnych zasadach. Jednak na każdym kroku widać pewną różnicę. Tak więc atmosfera w świetlicy jest bardzo miła; brak portretów osobistości ze świata politycznego wcale nie razi, wręcz przeciwnie — stwarza nastrój prawdziwego domu, nie zaś sali imprezowej. Pisma, gry, radio, biblioteczka i, co najważniejsze, czynne kaloryfery zapewniają młodym i uroczym mieszkankom miły odpoczynek po całodziennej pracy. Kursy języka angielskiego i krawiectwa umożliwiają znalezienie lepszego zajęcia i większych zarobków. Podobnie jak w bursie męskiej tak i tu istnieje samorząd funkcjonujący bardzo sprawnie (wiadomość od Komisji Rewizyjnej). Oprócz samorządu działa Sodalicja Mariańska, jedyna organizacje spoza bursy.

Zainteresowanie działalnością innych organizacyj młodzieży jest bardzo małe. Wiedzą natomiast wszyscy o istnieniu Klubu Akademickiego, o mającym zaś powstać Domu Młodzieży dotarły tu dopiero pierwsze jaskółki. Jeśli chodzi o ten ostatni, to na podstawie kilku wypowiedzi sądzę, że Samorządy obu burs chętnie wezmą udział w przygotowawczych pracach wespół ze studentami i SPK. Rozumieją one potrzebę istnienia takiego Domu i pełnego współdziałania *całej* młodzieży.

Z naszej strony winniśmy zrobić wszystko, by ta przyjaźń i wzajemne zrozumienie między młodzieżą pracującą i studiującą ciągle się pogłębiały, stwarzając jednolitość młodego pokolenia we wszystkich dziedzinach, nie tylko w życiu codziennym na emigracji, ale i w sprawach ważniejszych, ogólnych, jak obrona interesów Polski, odbudowania własnego państwa i rzucenia mu silnych i zdrowych zrębów.

X.

CZŁONKOSTWO HONOROWE

W dowód uznania za pracę i opiekę nad młodzieżą akademicką Zarząd Bratniej Pomocy PUC nadał dnia 19. 1. 1951 r. członkostwo honorowe Bratniej Pomocy PUC Księdzu Kapelanowi Tadeuszowi Kirschke. Również nadano członkostwo honorowe kol. T. Andrzejaczkowi, byłemu prezesowi Bratniej Pomocy PUC.

M. DUBANOWICZÓWNA

BRATERSTWO

Braterstwo. Bratnia pomoc. Brać akademicka.

Brat — słowo, które traci znaczenie, z którego ucieka treść, wietrzeje sens. Człowiek przestaje być bratem.

W świecie, w którym nie jest on już bratem, jakiż jest stosunek do człowieka? Stosunek ten jest błędny.

Chesterton pisał, że błąd jest niebezpieczniejszy od winy, że jest większym złem potencjalnym. Winę można okupić. Wymazać. Nie powtórzyć. Ale błąd jest źródłem zła. Jest żyznym podłożem, z którego wyrastają winy.

* * *

Nauka Chrystusowa zrewolucjonizowała pogańskie pojęcie człowieka. Arystoteles dowodził, że masy ludzkie są jedynie, jakbyśmy dziś to określili, żyjącym narzędziem wytwórczości w rękach producenta. Twierdził, że ogromna rozpiętość skali zdolności i talentów świadczy o przyrodzonym podziale rodzaju ludzkiego na wyższy i niższy gatunek oraz, że ten drugi nadaje się jedynie do niewolniczej służby pierwszemu.

Niewolnictwo zwalczyła dopiero socjalna nauka Chrystusa. Później naukę tę wyprzeć usiłowała nowa doktryna: „antropocentryczny" humanizm, w przeświadczeniu, że człowiek jest centrum wszystkiego. Przez parę wieków w imię postępu budowano nowe teorie i rozwijały się nowe ich terminologie w usiłowaniu, aby życie wyzwalane spod wpływów chrześcijaństwa nie powróciło jednak konsekwentnie do logiki Arystotelesa.

Tak więc powstał „*homo oeconomicus*", urodzony z tej samej nieludzkiej doktryny, która stworzyła masy niewolnicze fabryk „rewolucji przemysłowej" i przepaść między nędzą ówczesnego proletariatu a jego plutokratycznymi panami.

Człowieka jednak ekonomicznego usunął wkrótce człowiek biologiczny, który powstał z entuzjazmu do darwińskiego ewolucjonizmu i był wynikiem przeciągania teorii Darwina poza granice logiki, nielogicznym przeskoczeniem istniejących luk i przejściem do porządku dziennego nad brakującymi etapami ewolucji między niczym a małpą, małpą a człowiekiem.

Potem zjawił się jeszcze psychologiczny człowiek Freuda, skomplikowany mechanizm psychologiczny upośledzony zupełną atrofią władz duchowych. Freud zastanawia tym nieproporcjonalnym wyolbrzymieniem zagadnień i czynników psychologicznych w człowieku przy równoczesnym zaniedbaniu jego strony duchowej. Ten jednak psychologiczny twór bez duszy miał wkrótce ustąpić miejsca proletariuszowi, który jest w rzeczywistości niczym innym jak tylko dawnym *człowiekiem ekonomicznym* przebranym w strój nowoczesnego robotnika.

I w końcu Lenin, Stalin i Hitler doprowadzili do końca antytezę chrześcijaństwa. Bowiem ich *człowiek - robot* jest ostateczną manifestacją materialistycznej doktryny.

Gdy państwo przekroczy konieczną granicę między wolnością i prawami człowieka a władzą i prawami państwa, złowrogim wynikiem jest *człowiek - robot*. Nie ma on już prawa wolnej myśli, niezależnego sądu i własnych przekonań. Traci swą indywidualność i swą identyczność.

A dalej?

Dalej jest już chyba tylko makabryczna wizja A. Huxley'a, czy G. Orwell'a, przerwana może zbiorowym samobójstwem ludzkości i zagładą tej planety. Kataklizm na miarę kosmiczną. Samobójstwem pewnie nawet nie zamierzonym świadomie, co zresztą podkreśla tylko absurdalny charakter naszego „postępu".

Czy nie ma ratunku?

Ratunkiem jest uleczenie, cudowne uleczenie z *błędu*. Powrót do *człowieka - brata*.

I może wolno nam dziś wierzyć, bardziej niż kiedykolwiek, że zbliżamy się do wielkiego zakrętu, do koniecznego przełomu. Że cudowny ratunek jest bliski. Że w wyniku strasznych cierpień i doświadczeń i w blasku nowego światła powróci świat do tej doktryny, która jedyna nie prowadzi z nieubłaganą konsekwencją do samozatraty jednostki, społeczeństwa i całego rodzaju ludzkiego.

I, że człowiek znów stanie się — *bratem*.

M. Dubanowiczówna

Ś. P.

ZYGMUNT DŁUGOBORSKI

Ś.p. Zygmunt Długoborski zmarł tragicznie dn. 17 grudnia 1950 r. w wyniku napadu rabunkowego.

Studia rozpoczęte na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej przerwała Mu wojna. W 1939 r. bierze udział w obronie Warszawy. Potem pod okupacją pracuje aktywnie w tajnych organizacjach wojskowych, żyjąc z dala od rodziny pod przybranym nazwiskiem. Powstanie Warszawskie. Niewola, z której ucieka. Złapanego na linii frontu w Holandii odstaniono z powrotem do obozu. Ucieka powtórnie, tym razem dociera do wojsk angielskich i II Korpusu.

W 1946 r. na nowo podejmuje naukę na Wydziale Inżynierii Lądowej P.U.C. Śmierć zabrała Go na miesiąc przed egzaminem dyplomowym.

Zygmunt Długoborski miał wiele zalet umysłu i charakteru. Koledzy Jego będą Go jednak przede wszystkim pamiętali jako prawdziwego Przyjaciela.

Pamięć Jego żyje z nami.

W OBOZIE APARÓW

Czerwona Opończa przeciągnął się leniwie na skórzanym barłogu. Pierwsze promienie słońca wtargnęły do wigwamu i padły na posąg Wielkiego. Z zewnątrz dochodził gwar budzącego się obozu.

Czerwona Opończa wstał, starannie zakopał pod barłogiem flaszkę po ognistej wodzie, zdobytej podczas ostatniego napadu na Blade Twarze (wojownicy plemienia Aparów zobowiązali się wody ognistej nie pić, gdyż jest ona napojem Bladych Twarzy, podżegaczy wojennych), nałożył pióropusz, po czym klaśnięciem w dłonie przywołał swych doradców i pomocników. Narady potoczyły się w dobrym nastroju, gdyż wszystkie zobowiązania zostały na czas i solidnie wykonane. Rogaty Byk wykonał 115% normy, poślubiając 8 dziewcząt w ciągu ostatnich 7-u nocy, Okrutny Lew zdobył 12 skalpów Bladych Twarzy, liczbę stanowiącą 120% łupu poprzedniej wyprawy, zaś Chytry Lis uprowadził 5 mustangów należących do sąsiedniego plemienia Komazów, skutecznie zwalając winę na Blade Twarze. W wyniku tego czynu Komazowie napadli na osadę białych, lecz zostali rozgromieni. Na liżących rany Blade Twarz uderzyli wtedy Aparowie: nie uszedł nawet świadek rzeźi.

Po skończeniu narady Czerwona Opończa wyszedł z wigwamu i donośnie zakrakał trzykrotnie. Plac obozowy zaczął się zapełniać srogimi wojownikami, którzy wymachując tomahawkami ustawiali się szerokim półkolem wokół siedziby wodza. Czerwona Opończa skinięciem ręki uciszył zebranych, po czym uchylił płachty wigwamu, ukazując oczom wojowników posąg Wielkiego. Przez tłum przeszedł szmer zachwytu; wsunęły się barwne pióropusze odsłaniając ogolone głowy; niektórzy padali na kolana. Wtedy rozległ się uroczysty głos Czerwonej Opończy.

Bohaterowie Wojownicy! Dzięki geniuszowi Wielkiego Wodza plemienia Matozów, przyjaciela i opiekuna a zarazem nauczyciela naszego plemienia, pomściliśmy klęskę zadaną spokojnemu plemieniu Komazów. Pokazaliśmy, że jeżeli wrogom nie smakuje dym z fajki pokoju, potrafimy odgrzebać tomahawk i wymierzyć nim sprawiedliwość. Niestety grasujący wśród nas nieprzyjaciel nie pozwala zapalić fajki pokoju. Nie zapalimy jej dopóki zbałamuceni nikczemną propagandą Bladych Twarzy wojownicy nasi nie pójdą za przykładem bohaterów, jakimi są Rogaty Byk i Okrutny Lew; dopóki wojownicy będą zażywać ognistą wodę. Wielki pokazał nam drogę do zwycięstwa. Korzystajmy z jego doświadczeń. Gdy dojdziemy do celu, osiągając zwycięstwo nad Bladymi Twarzami, i ich zwolennikami wśród nas samych, Wielki nauczy nas oszczędniejszego sposobu palenia fajki pokoju. Będziemy zaciągać się dymem naszym, dymem zdobytym własnymi siłami. Niech żyje Wielki! Śmierć Bladym Twarzom!

Przez tłum zebranych przeszedł okrzyk powtarzający hasła rzucone przez Czerwoną Opończę. Po chwili odezwał się Chybki Żółw, obiecując dostarczyć piętnaście jeleni i dwa bizony dla wdów i sierot plemienia Komazów. Ośmieleni zacnym przykładem Chybkiego Żółwia wojownicy jeden przed drugim poczęli składać przyrzeczenia. Jeden obiecał zdobyć na Bladych Twarzach 20 łokci szarego płótna, drugi zebrać piętnaście miarek osiego miodu, trzeci upolować dziesięć bizonów i sporządzić z ich skór sto dwadzieścia par mokasynów systemem kompleksowego oszczędzania, wreszcie czwarty posunął się tak daleko, że obiecał udać się do obozu Komazów i uszczęśliwić wszystkie wdowy po bohaterach - wojownikach.

Ogólnej radości nie podzielały tylko skwawy. Dla nich pomoc niesiona Komazom znaczyła więcej pracy i kłopotów obozowych. Wprawdzie od czasu założenia Szczepowej Akademii Wojowników, wychowywanie potomstwa nie zajmowało dużo czasu ,nie mniej jednak Dwuwiosenny Plan Gospodarczy pochłaniał wszystkie ich siły. Musiały obecnie prócz gotowania strawy i szycia opończy również wyrabiać strzały i łuki — zajęcie do niedawna wyłącznie męskie. Jak by na tym jeszcze nie dosyć wkrótce wyjść miało prawo o przymusowym udziale skwawów w polowaniach.

Ale z opinią skwawów nie liczono się w obozie. Rozentuzjazmowani wojownicy, czując, iż spełnili swe obowiązki, zasiedli do obfitej uczty złożonej z ikry węgorzy, płatów polędwicy bawolej, placków ziemniaczanych oraz musującego napoju ze słodkiej trzciny. W obozie panowała atmosfera ogólnego szczęścia i wiary we własne siły. Z głębi puszczy dochodziło wycie jaguara.

Prawy Mokasyn

OGŁOSZENIE

Niżej wymienieni Koledzy proszeni są o skomunikowanie się z Poselstwem Rzeczypospolitej Polskiej w Bejrucie celem odbioru dyplomów przesłanych na jego adres przez francuskie władze uniwersyteckie:

Bielecki Włodzimierz, Ciemnołoński Jan, Kasina Stanisław, Orełowicz Michał, Różański Rachmiel, Sosna Giersz, Trzaska Bronisław, Weinberg Basia, Chajes Ryszard, Fabian Alojzy, Mościebrodzka Maria, Parnes Henryk, Sławiński Karol, Teć Leon, Walko Zbigniew, Żuławski Witold.

NASZ ADRES

Korespondencję do ŻYCIA AKADEMICKIEGO oraz ofiary na pomoc dla studentów polskich należy kierować pod adresem:

Zrzeszenie Studentów Polskich Zagranicą, 74, Cornwall Gardens, London, S.W.7. Tel. WES 5763.

Biuro czynne: pon., środa, piątek, godziny 18 — 20.

Z POLSKI

DOMY AKADEMICKIE

„Sztandar Młodych" z dn. 27. 10. 50 r. podaje szereg faktów, ilustrujących ciężkie warunki mieszkaniowe studentów w Polsce. Dowiadujemy się, że z początkiem roku akademickiego w Warszawie oddano do użytku 4 nowe domy akademickie, posiadające łącznie 1300 miejsc. Później okazało się jednak, iż jeden z tych domów nie nadaje się wcale ze względów zdrowotnych do użytku. Przydzielonych doń studentów trzeba było dokwaterować do istniejących już domów, które jak np. przy ul. Narutowicza, są przepełnione. Dom ten przewidziany na 2788 akademików kwateruje 3237 oraz 200 — 300 mieszkających bez formalnej zgody samorządu.

POWODY LIKWIDACJI ZAMP

W poprzednim numerze „Życia Akademickiego" ukazała się notatka o wcieleniu Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej do Związku Młodzieży Polskiej. Obecnie podajemy oficjalne powody zlikwidowania ZAMP:

„W chwili obecnej, kiedy skład społeczny studentów uległ zasadniczej zmianie, bo młodzież robotniczo - chłopska i inteligencji pracującej stanowi ogromną większość studentów;

kiedy dzięki władzy ludowej i aktywnej pracy ZAMP zaszły wielkie przeobrażenia w świadomości studentów włączających się coraz większą masą w budownictwo socjalizmu;

kiedy w walce o wychowanie nowej inteligencji wyrósł i podniósł swój poziom aktyw studencki;

— odrębność organizacyjna Z. A. M. P. stała się przeżytkiem niezrozumiałym dla większości studentów." („Sztandar Młodych" 19. 10. 1950 r.).

STALOWY STUDENT O SOBIE

Począwszy od bieżącego numeru będziemy zamieszczać rubrykę Stalowego Studenta, który w mocnych, bo stalowych słowach, zobowiązał się wnieść trochę humoru na ponure — jak twierdzi sam — łamy naszego „Życia Akademickiego".

REDAKCJA

Nazywam się... Ach, nieważne! Wszyscy mnie znają...

Urodziłem się lepiej od Chopina, bo w Stalowej Woli. On uczynił to w Żelazowej. Stąd stalowy zapał i taka sama wola do studiów.

Studia zacząłem w Polsce w tym czasie, kiedy obecni moi koledzy byli w projektach swoich rodziców, a moich ówczesnych Kolegów. Pamiętam czasy „Falangi" i wybijania szyb, pamiętam jak policja polska rozpędzała nas sikawkami, pamiętam Bal Politechniki Warszawskiej, na którym moi koledzy puścili małą świnkę z napisem: „Jędrzejewicz"... Później przyszła wojna. Studiowałem w konspiracji. Nikt o tym nie wiedział. I ja też. Studiowałem w Niemczech i we Włoszech. Co? Nie pytajcie — sami wiecie. Nie byłem tylko w Hiszpanii i w Szwajcarii, ale orientując się po postępach mych studiów w Londynie, mam prawo wnioskować, że niedługo tam pojadę. Obecnie mam stypendium z przerwami. Kim będę, gdy skończę studia? Zapewnie staruszkiem. Właściwie jestem zwykłym studentem, ale jeśli chodzi o lata studiów jestem niezwykłym. Żyję na emigracji i cierpię za miliony, dziś w rękach prywatnych. Z pieniędzmi się nie liczę, bo ich nie posiadam. Nawet po... 1-szym. W tym czasie oddaję długi i zaciągam nowe. U mnie jak w banku... zbankrutowanym. Przyznaję, że żyję ponad stan moich wierzycieli. Co studiuję? Nieważne. Spotkać mnie można na Putney, na Cadcgan, na Princes Gate, gdzie krążę szlakiem polskiego inteligenta dziś na zasiłku Komitetu. Lubię trafiać na ten szlak, choć częściej bywa odwrotnie. Przeważnie pędzę zziajany z teczką pełną kartofli i cennych notatek. Te pierwsze na obiad, te drugie na opał. Często stoję na Earls Court i na stanowisku nienaruszalności naszych granic. Dla uwagi Kolegów z Kontynentu wyjaśniam, że Earls Court jest dzielnicą zamieszkałą przez murzynów i Polaków, stąd przechodnie chcąc być niezrozumiani na ulicy przez innych przechodniów, muszą mówić po angielsku.

Noszę znaczek Korpusu, należę do Koła A.K., tomizuję się w „Veritasie", kąpię się w AZSie i składek na Skarb Narodowy też nie płacę. Bywam na przedstawieniach Hemara, na Radzie Narodowej oraz Politycznej, na wykładach Szkcły Nauk Politycznych i na innych widowiskach rozrywkowych. „Zjednaczam" skłóconą młodzież (na starszych machnąłem ręką). W czasie wykładów siedzę u Dakowskiego, przy kawie czarnej, w której wykrywam bakterie chorób emigracyjno-młodzieżowych. Kol. Angerer też tam wykrywa ze mną. Obaj mamy swoje POGLĄDY, wprawdzie nie powielane, ale za to ekonomicznie nie oparte na PUCu i wartości 3-pensowej kosztów własnych. Mam ciemny garnitur i powodzenie u kobiet. Gary Cooper podobny jest do mnie. Koleżanki nazywają mnie pająkiem, koledzy świnią.

Ponadto jestem młody, mam tylko siwe baczki (resztę włosów czernię), ale Kolega Prezes też je... ma, więc na prawdę jestem młody.

Emigracja i partie polityczne patrzą na mnie jak w słońce. — Jestem w polityce zalotny... Zachowuję się jak wszyscy koledzy. Nie należę nigdzie, ale wszyscy liczą na mnie... Partiom trzeba iść na rękę. Niech sobie wołają, że „młodzież z nami!" Dlaczego nie? Wołać mogą. Oni i tak w Polsce rządzić nie będą. Oni będą na Wawelu.

„Życie Akademickie" od dawna odczuwało potrzebę mojej współpracy. Nie jestem snobem i egcistą. Powiedziałem, że dorzucę cegiełkę do tej nędzy studenckich wypocin, w których na prawdę coś zrozumieć można dopiero wtedy, jak się artykuły przetłumaczy na język angielski. Postawię pismo na właściwym poziomie i nadam kierunek ideowy. Jeśli będzie fiasko — wina idei. Pisać będę twardo, nie boję się polityki, generałów, rządu i innych mało znanych rzeczy wśród braci akademickiej. W każdym dodatku studenckim znajdziecie mój dodatek nadzwyczajny.

Wasz
Stalowy Kolega

TU MÓWI AMERYKA

LIST Z KANADY...

Ostatnio napływa do nas cała masa korespondencji zza granicy, głównie z krajów zamorskich. Nie sposób jest umieścić na naszych szpaltach wszystkich listów. Staramy się ,jak zawsze, wybierać bardziej charakterystyczne i dzielić się nimi z naszymi Czytelnikami.

„...Chodzę do college'u, który nazywa się Mac Master University. Mam osiemnaście wykładów w tygodniu. Oto przedmioty, których się uczę: angielski (oczywiście), niemiecki, francuski, hiszpański, historia, politics, economics i... ćwiczenia cielesne! Cały kurs trwa cztery lata. Nazywa się to social studies. Po ukończeniu dostaję stopień B.A. (Bachelor of Arts). Po jeszcze jednym roku można dodrapać się do M.A. (Master of Arts). Doktorat po jeszcze trzech latach własnej pracy — ale szkoda czasu na utopie. Nie mam żadnego stypendium. Na opłatę szkolną zarabiam w czasie wakacji (od maja do października), na życie w czasie roku szkolnego — wieczorami. Sam college jest bardzo przyjemny. Jestem jedynym DP. Oprócz Anglików i Francuzów jest dużo Hiszpanów i Hiszpanek z Południowej Ameryki. Japończycy, Chińczycy i Murzyni są też reprezentowani. Dużo studentów pochodzenia polskiego i ukraińskiego, chociaż urodzeni tutaj, mówią nieźle po polsku.

Będąc już drugi rok tutaj nie spotkałem się z żadnym przycinkiem à propos mojej narodowości, statusu czy też religii. Kanadyjczycy są niezwykle tolerancyjni i w ten sposób grubo szybciej asymilują nowoprzybyłych. Nie ma też specjalnej kurtuazji wobec obcych (jak u nas w Polsce), po prostu traktują jak równych sobie.

Poziom uniwersytetu może nie dorównuje niemieckim czy polskim, ale jest ciekawszy sposób pracy: gdzie tylko możliwe, sąd i osąd pozostawiony jest uczniom. Jedynie niezaprzeczone „prawdy" płyną ex cathedra. Mamy swój własny sejm. Każdy uczeń jest posłem. Zanim jednak nim zostanie, musi zadeklarować swą przynależność partyjną. Z bardziej szanowanych i wybitnych uczniów wybierany jest rząd. Senat stanowią profesorowie i absolwenci uniwersytetu. Działalność nasza jest równoległa do parlamentu kanadyjskiego. A więc premier St. Laurent biedzi się nad paktem atlantyckim, pensjami starczymi, Koreą — dostaje bólu głowy na wieść o wiecznej opozycji prowincji Quebec do wszystkiego co proponuje Ontario i vice-versa. — my na najbliższym posiedzeniu znajdujemy salomonowe wyjście z tych zawiłych sytuacji — głosujemy, odrzucamy, piętnujemy, ostrzegamy, wskazujemy, żądamy itd. Do ogólnego obrazu chciałbym jeszcze dodać, że siedzę w gronie najbardziej krzykliwych posłów, jako że jestem member of CCF (partia pracy) i po lewej stronie. Klubów jest do jasnej cholery...

Na zebraniu hiszpańskim tańczymy rumbę i śpiewamy La Palomę i Cucurachę. U Niemców oglądamy filmy z Heinzem Rühmanem i śpiewa się „Stille Nacht". Anglicy napychają ciebie Bernardem Shaw'em, a u Francuzów podają kanapki z rzekomo oryginalnego pasztetu. U przyjaciół muzyki klasycznej słuchasz „recordowego" Bacha, Händla lub Chopina. Opera Society każe ci ćwiczyć rolę yeomena z operetki „Yeoman of the Guard", sportowcy dowiedziawszy się, że widziałeś jak się gra w piłkę nożną, dają ci posadę lewoskrzydłowego, nie można też odmówić tenisistom (taki szlachetny sport), a strzelanie z łuku i fechtunek to też fun, a... dziewczynki i tańce —jeszcze większy fun... W styczniu zaczynają się egzaminy, nie wiem jak mi pójdzie, ale można wierzyć, że się uda; i dlatego wierzę. C'est la vie.

(Zdaje się, że nasi Koledzy z kontynentu wiele by dali, ażeby znaleźć się w podobnych warunkach — RED.).

I DRUGI ZE STANÓW

Kol. Wiesław Kuniczak był studentem PUC (Wydział Ekonomiczny) w Londynie. Po oblaniu egzaminu z matematyki, utracił stypendium. Zniechęcony niepowodzeniami na terenie londyńskim, udał się na studia do Ameryki, dzięki pomocy Związku Kombatantów otrzymał stypendium i przyjęcie do Alliance College w Cambridge — Springs, Pennsylvania. W niedługim czasie zdobył sobie markę prymusa szkoły. Poniżej podajemy jego korespondencję, którą Kol. Kuniczak przesłał specjalnie dla „Życia Akademickiego". Domyślamy się, że w związku z ogólnym polskim emigracyjnym pędem do USA korespondencja ta wzbudzi zainteresowanie u Czytelników. Kol. Kuniczak nie poruszył sprawy wojskowego poboru, stawał on jednak na komisji wojskowej i dostał tymczasowe roczne zwolnienie ze względu... na studia, na które przyjechał. Wyjaśniamy, że wszyscy cudzoziemcy, którzy w USA przebywają dłużej niż trzy miesiące, podlegają obowiązkowi służby wojskowej.

Kolega Kuniczak pisze:

„...Życie studenta emigranta w USA jest dosyć ciężkie. Stypendium zwykle pokrywa tylko koszt nauki — nie odnosi się zupełnie do kosztów utrzymania, ani do książek, czy też innych wydatków osobistych. Szkoły są wszystkie drogie; mój, Alliance College jest jedną z najtańszych — kosztuje 850 rol. rocznie. To znaczy, że aby się uczyć, trzeba mieć przynajmniej 600 dol. rocznie, mając opłaconą szkołę. Nie jest zbyt łatwo zarobić 600 dol. przez dwa miesiące wakacji letnich, ale jest przynajmniej możliwe.

Przypomina mi się uwaga moich kolegów z PUC na temat moich studiów w Stanach, Mówili mi, że wystarczy, abym dostał się do Harvard i już będę w porządku. Słuszne, ale zupełnie niemożliwe. Każdy nowoprzybywający student, zwłaszcza Polak, musi zrozumieć, że nie ma najmniejszych szans dostania się do wspaniałych szkół, jak Harvard, Yale, Princeton czy Dortmouth. Nie tylko, że musi się posiadać 2500 dol. rocznie, ale trzeba mieć specjalne znajomości, aby się tam dostać. To charakteryzuje całe życie w Ameryce. Trzeba mieć znajomości, aby czegośkolwiek dopiąć. Tak samemu, „na wariata", nic zrobić nie można. Pozostały nam tylko małe, chociaż równie dobre szkoły, które są mniej znane, więc dają mniejsze szanse zatrudnienia po wyjściu w świat.

Studenci amerykańscy są na ogół wrogo ustosunkowani do Polaków, przybywających z Anglii. Dlaczego? — Bo ci Polacy zaraz zbijają się w kupę, zupełnie od nich stronią i z nimi nie żyją. Maniery i snobizm Polaków denerwują Amerykanów, którzy są bardzo bezpośredni i na ogół szczerzy. Polacy nie rozumieją tej „dziecinności" i odnoszą się do tubylców jak do gromady idiotów. Amerykanie wcale nie są zbudowani bohaterstwem mężnych Polaków; Powstanie czy Monte Cassino nic im nie mówią, a naszym tu się wydaje, że świat im winien życie.

Wobec takich stosunków trudno coś wskórać. Dlatego też musiałem się męczyć zanim udało mi się przełamać opór tubylców i zdobyć sobie wielu porządnych przyjaciół. Widząc, że od nich zupełnie nie stronię, że przeciwnie — rękę do nich wyciągam, zaczęli mnie darzyć przyjaźnią; żyjąc o tyle na ile mnie stać, ich lekkim życiem i nie zaniedbując przy tym nauki, stałem się lubianym i dobrym kolegą.

Każdy nowoprzybywający Polak musi sobie wyrobić jak najwięcej stosunków. Trzeba jak najszybciej zapisać się do Związku Narodowego Polskiego, gdyż może on dużo pomóc, a stosunkowo mało kosztuje. Oprócz tego na wszystkich uniwersytetach są korporacje, które wiążą wszystkie uniwersytety w Stanach. Jeżeli studentowi uda się dostać do korporacji, „bracia" jego mogą mu wiele pomóc, nie tylko w dziedzinie mieszkaniowej, ale i nawet finansowej — nie mówiąc o przyszłości, gdy przyjdzie znaleźć pracę. Ja należę do ZNP, do Klubu Newmana, katolickiej organizacji, rozciągającej się na całe Stany.

Życie tu jest kromką chleba na złotym talerzu. Jest tylko kromką chleba. Tu, czy się ten chleb zje, czy się go sprzeda, zależy od samego siebie. Dostajemy po prostu szansę — co z nią zrobimy, to nasza rzecz. Amerykańsko-polskie organizacje też pomogą. Trzeba im pokazać, że się chce pracować i że się jest wartym pomocy. Za „nic" dają „nic". Z takiej to zasady wywodzą się poglądy Amerykanów na udzielanie pomocy; każdemu pomogą raz jeden tylko i puszczają na łączkę. Jeżeli jest człowiekiem zwrotnym i bystrym, da sobie radę. Jeżeli nie... ha, trudno, raz mu się nie udało, szkoda pieniędzy w dziurę w murze pakować.

Lecz nie z samego stypendium żyje student. Jak już pisałem, stypendium prawie nigdy nie obejmuje nic ponad koszta nauki, a w każdym razie nigdy nie ma w nim „pocket money". Jeżeli student nie ma własnych pieniędzy, musi pracować 2 —3 godziny dziennie w szkole. Można myć garnki, zamiatać chodniki, czyścić okna, lub pracować w bibliotece, albo w którymś ze szkolnych biur. Gaże nie obejmują więcej niż w najlepszym wypadku 75 centów za godzinę, co zupełnie pokrywa paczkę papierosów, dwie filiżanki czarnej kawy i dwa kufle piwa. Cóż więcej student może żądać w ciągu pracowitego tygodnia? Dzień pracy (dla przykładu mój) — śniadanie 7.30, wykłady od 8 do 12; o godz. 12 obiad; od 1 do 2 klasy. Od godz. 3 praca w szkolnej bibliotece. Kończę o g. 5 i jem kolację. Od 6 — 10 nauka we własnych pokojach. Jeśli pieniądze są (w większości wypadków ich nie ma) idę wieczorem z „guy'ami" na „drinka" do pobliskiego „pubu".

Wiesław Kuniczak

KRONIKA AKADEMICKA

DOM MŁODZIEŻOWY

W sobotę, dnia 21 stycznia br w sali Klubu Akademickiego odbyło się zebranie delegatów wszystkich organizacji młodzieżowych, których centrale mieszczą się w Londynie. Na zebranie zorganizowane z inicjatywy Zarządu Głównego ZSPZ przybyli następujący delegaci: ZSPZ — Zarząd Gł. reprezentował Kol. L. Angerer, Prezes Zrzeszenia oraz Koledzy: O. Hulacki i R. Morawski; ZSPZ Koło Londyn: W. Gawalewicz — Prezes Koła, Kol. M. Kwiatkowski; Br. Pomoc PUC: J. Brzeziński, Prezes Br. Pom. i Kol. H. Rubinstein; Akademicki „Veritas" Kol. E. Ponińska; AZS: Kol. S. Bala; Br. Pom. S.N.P. i S. Kol. A. Menhardt; Koło B. Uczniów Junackich Szkół: Kol. A. Wasung; z ramienia „Życia Akademickiego": Kol. A. Wnęk.

Zebranie zostało zwołane celem przedyskutowania projektu organizacyjnego Domu Młodzieży, przesłanego na ręce ZSPZ przez SPK — Zarząd Oddziału Wielka Brytania. Wszyscy delegaci wypowiedzeli się wyczerpująco w sprawie przedstawionego projektu i jednogłośnie projekt ten uznali za niemożliwy do przyjęcia ze względów zasadniczych. Zebrani powołali specjalną Komisję do ułożenia projektu zgodnego z opinią młodzieży. Do Komisji weszli Kol. Kol.: J. Brzeziński, W. Gawalewicz, E. Ponińska. Komisja ta w najbliższym okresie przedstawi nowy projekt, który po przedyskutowaniu przedstawiony zostanie Zarządowi SPK Oddz. Wielka Brytania.

Po załatwieniu spraw merytorycznych, Kol. S. Bala poparty przez wszystkich obecnych zaproponował utworzenie Komisji Porozumiewawczej wszystkich organizacji młodzieżowych na terenie Londynu.

WALNE ZEBRANIE BRATNIEJ POMOCY PUC

29 stycznia odbyło się w sali „Białego Orła" Walne Zebranie Bratniej Pomocy PUC — najliczniejszej Bratniej Pomocy na emigracji. Z 800 członków BP na zebranie przybyło 50-ciu, z czego 80 proc. stanowili przedstawiciele Wydziału Ekonomii. Prezesem Bratniej Pomocy na następny rok akadem. 1951/52 wybrany został większością głosów Kol. Jerzy Brzeziński — Wydział Ekonomii. Zarząd ukonstytuował się następująco:

I wiceprezes — Z. Talarski, II wiceprezes — K. Reynert, sekretarz — S. Gebhardt, z-ca sekretarza — E. Orłowski, skarbnik — J. Janowski, z-ca skarbnika — A. Praun, I asesor — W. Gielnik, II asesor — S. Gałązka, III asesor — W. Rólska. kom. inform. pras. — H. Brodzińska, W. Dworak i A. Jakubowski.

Z wyjątkiem Kol. W. Dworaka, który studiuje na wydziale Mechanicznym — wszyscy inni są z Wydziału Ekonomii.

(Górą ekonomia! RED.)

SUS I REFERENDUM NUS

SUS (Scottish Union of Students) odrzuciła na ostatnim posiedzeniu Zarządu w listopadzie ub. r. wniosek delegacji uniwersytetu St. Andrews o wystąpienie z Międzynarodowego Związku Studentów (IUS). Nie przebrzmiały jeszcze echa ostatniego Council Meetingu, który zakończył się dość burzliwie, kiedy ogłoszono wynik referendum przeprowadzonego na terenie NUS. I znów delegacja St. Andrews wysunęła projekt referendum na terenie Szkocji. Referendum odbędzie się przypuszczalnie w marcu br. Student's Representative Council (SRC) St. Andrews zabiega usilnie o spowodowanie wystąpienia SUS z IUS.

KLUB AKADEMICKI

Występ szopki harcerskiej w Klubie Akademickim podczas ostatniej herbatki towarzyskiej udał się wspaniale. Najlepiej może świadczyć o tym entuzjazm, z jakim obecni studenci przyjęli artystyczny występ swoich młodszych Kolegów Harcerzy. Cieszymy się, że Komitet Klubowy zdaje sobie sprawę, że bywalcy Klubu mają apetyt nie tylko na ciastka (zawsze znakomite), herbatkę i wykupywanie fantów, ale również na coś, co zaspakaja wyższe potrzeby cywilizowanego człowieka.

Sądzimy, że nie tylko my czekamy z niecierpliwością na następną imprezę Klubu Akademickiego, który zaczyna stawać się niezastąpionym ośrodkiem społeczności akademickiej w Londynie.

BAL MASKOWY

Doroczny bal maskowy ZSPZ Koła Londyn wypadł doskonale. Główną atrakcją były kostiumy, przeważnie własnej roboty; nie tylko miłe dla oka, barwne, pełne przepychu ale też na prawdziwie artystycznym poziomie. Ze szczerym podziwem można było patrzeć na trzech muszkieterów w kapeluszach z trzęsącymi się pióropuszami i ze szpadami u boku, oraz na ich damy w przepychu krynolin. Zagłoba w oryginalnym kontuszu z bielmem na oku i kuflem pełnym whisky, Don Kichot, którego miecz i wzrost przypominały raczej Podbipiętę — oto tylko niektóre ze strojów, które zabawie dodały urozmaicenia i kolorytu.

Dochód z zabawy ponad £ 40; obecnych około 400 osób. Tańczyć można było względnie swobodnie, co jest rzadkością na emigracyjnych zabawach. Zabawa dobrze zorganizowana i udana zgodnie z najlepszymi tradycjami Koła Londyn.

Na marginesie uwaga: w ogłoszeniach zabawy w „Dzienniku Polskim" wkradł się błąd — zabawa urządzona była przez ZSPZ Koło Londyn, a nie, jak mylnie podano, przez Zrzeszenie Studentów Polaków Zagranicą.

ZABAWA „VERITASU"

Na zakończenie karnawału P. K. S. U. „Veritas" wraz z angielską organizacją „University of London Catholic Society" urządził zabawę taneczną.

Zabawa miała wszystkie zalety polskiej zabawy karnawałowej w połączeniu z charakterystycznymi cechami „Student's Dance". Wrażenie jak najbardziej dodatnie, a morał jasny: więcej imprez tego rodzaju, imprez, które umożliwiają poznanie się z naszymi brytyjskimi kolegami na platformie towarzyskiej, a na dalszą metę prowadzą do zaciśnienia więzów współpracy w wielu istotnych sprawach.

OFENSYWA CZY OBRONA?

Technika wojenna czyni wciąż zdumiewająco szybkie postępy, — niemal każdy rok przynosi w niej przemiany, których wynikiem jest złożenie do lamusa nie tylko takich czy innych rodzajów i typów broni, ale także samych koncepcji strategii i taktyki wojennej, często zupełnie świeżych i praktycznie do tej pory niewypróbowanych. Charakter tych przemian bywa w dodatku taki, że mogą one w rozstrzygający sposób wpływać na obrót spraw międzynarodowych i zamierzenia mężów stanu.

Przez ostatnich lat pięć wszystko stało pod znakiem bomby atomowej, której siła niszczycielska wypróbowana została przy końcu Drugiej Wojny Światowej w atakach amerykańskich na Hiroszimę i Nagasaki. Zdawało się, że przeciw bombie tej nie ma skutecznej obrony, tym bardziej, że nie ustawały prace nad powiększeniem jej siły i zasięgu działania, — ostatnio zaś na horyzoncie pojawiło się widmo broni jeszcze bardziej niszczącej: bomby wodorowej. Jeśli zaś chodzi o działania armii lądowych, w dalszym ciągu niezwykle doniosłą rolę przypisywano ciężkim czołgom. W dziedzinie broni powietrznej szczególnymi względami cieszyły się wielkie lotniskowce morskie.

Wszystkie te sądy i mniemania kwestionuje i podważa Vannevar Bush, jeden z najwybitniejszych amerykańskich specjalistów w zakresie broni technicznych, — w artykule, który ukazał się w lutowym zeszycie miesięcznika „The Reader's Digest".

Bush podkreśla, że istnieje obecnie wyścig między techniką ofensywną i obronną na wszystkich polach, przede wszystkim zaś w dziedzinie bombardowania strategicznego. Jest koniecznością dla Ameryki być górą zarówno w zakresie powstrzymywania bombowców nieprzyjacielskich, jak w zakresie przenikania zapór obronnych nieprzyjaciela. Zachodzi duża możliwość, że środki obrony przeważą tu nad środkami ataku, — w szczególności, że przedostawanie się do głównych obiektów ataków stawać się będzie coraz trudniejsze dzięki ostrzegawczym sieciom radaru, przeciwdziałaniu samolotów odrzutowych, kierowanych z ziemi, i podobnie kierowanym pociskom.

Należy — zdaniem Busha — przyjąć, że i Rosja we wszystkich tych dziedzinach czynić będzie raptowne postępy. Moment rozstrzygającego niebezpieczeństwa nadejdzie z tą chwilą, gdy kierownikom sowieckim uda się zapewnić skuteczną obronę przed zrzuceniem bomb atomowych na wielkie ośrodki przemysłowe i administracyjne Rosji. W chwili tej Zachód musi być zdolny do powstrzymania armii sowieckich i do obrony własnych ośrodków.

Główną bronią przeciw bombardowaniu z wielkiej wysokości będą, jak się wydaje, pociski kierowane w powietrzu z ziemi. Taki pocisk, pędzący z szybkością kuli wzdłuż promienia radarowego, zaopatrzony w ciężki ładunek wybuchowy i zapalnik działający z chwilą zbliżenia się może stać się bronią śmiertelną dla bombowców poruszających się na znacznej wysokości. Jak do tej pory, nie wyprodukowano jeszcze typu dostatecznie precyzyjnego i niezawodnego, ale sądzić można, że to nastąpi, — i wówczas takie pociski staną się głównym zabezpieczeniem centralnych ośrodków przemysłowych i administracyjnych przed bombardowaniem z wielkiej wysokości. Należy zrobić wszystko, by wytwarzać możliwie doskonałe typy takich pocisków.

Wedle opini Busha, o ile sprzymierzeńcy zachodni poczynili wielkie postępy w zakresie bombardowania strategicznego, o tyle Rosja góruje nad nimi, jeśli chodzi o taktyczną siłę powietrzną, która odgrywa tak doniosłą rolę w starciu się wielkich armii na dobrze bronionej linii frontu. Sowiety skorzystały tu dobitnie z doświadczeń ostatniej wojny i rozbudowały wydatnie swe taktyczne siły powietrzne. Wojna koreańska wykazała braki amerykańskie pod tym względem; amerykańskie lotnictwo spisuje się w niej doskonale, ale większość operacyj wykonywana jest przez samoloty wcale do tego nie przeznaczone. Braki te winny być usunięte możliwie szybko, zarówno jeśli chodzi o Stany Zjednoczone jak i ich sprzymierzeńców, którzy z pomocą amerykańską mogą budować samoloty równie dobrze, a mniej kosztownie.

Nadejść może czas, kiedy strategiczne operacje powietrzne, nawet posługujące się bombami atomowymi i zapowiadanymi bombami wodorowymi nie będą się po prostu opłacały. Każda bowiem operacja militarna, jeśli ma przynieść istotną korzyść, zadać musi nieprzyjacielowi więcej niszczących strat niż wynoszą koszty jej samej, w ludziach i środkach materialnych. Gdy więc nadejdzie taki czas, o jakim wspominamy, bomba atomowa z broni strategicznej zamienić się musi w broń taktyczną, służącą do powstrzymywania wielkich armii. Już dziś należało by myśleć o taktycznym użytkowaniu bomby atomowej w celu rozbijania koncentracyj czołgów, artylerii i mas ludzkich, co na dalszą metę może okazać się ważniejsze od strategicznego użytku tej bomby.

Bush sądzi również, że zmieni się w przyszłości decydująco charakter wojny na morzu. Jest wysoce prawdopodobne, że Druga Wojna Światowa była ostatnią, w której czołową rolę odegrały wielkie floty, i w której taką wagę posiadały operacje wielkich lotniskowców. Jeśli w niedalekiej przyszłości wybuchnie znów wielka wojna, świat zachodni musi się liczyć z operacjami wielkiej liczby nieprzyjacielskich łodzi podwodnych, bardzo szybkich i zdolnych do długotrwałego działania, a wyposażonych w broń niezwykle zgubną; w torpedy o nieznanej dotąd wielkości zasięgu, szybkości i precyzji. Na floty handlowe dokonywane będą ataki z powietrza przy pomocy bomb kierowanych. Innym niebezpieczeństwem będą nowoczesne miny podwodne, niezwykle trudne do wyłowienia. Miny te, rzucone z powietrza, mogą zupełnie sparaliżować ruch portów morskich, jeśli nie znajdzie się odpowiednich środków przeciwdziałania. Dla wygrania wojny utrzymanie transportu morskiego jest rzeczą niezbędną.

Jeśli chodzi o flotę wojenną, to nie buduje się już pancerników dla walki z pancernikami. Powstało obecnie zagadnienie, czy w ogóle opłaca się budowanie, utrzymywanie i zaopatrywanie wielkich lotniskowców. Natomiast niewątpliwa jest racja istnienia lotniskowców małych, służących do przewożenia samolotów do miejsc odległych i zwalczania łodzi podwodnych. Potrzebne też będą zapewne całe floty „moskitów", zręcznych, zwrotnych i trudnych do utrafienia przez torpedę.

Metody, jakimi zwalczane były łodzie podwodne podczas ostatniej wojny, przestarzały się w znacznej mierze z chwilą wyprodukowania torpedy, która wyprzedza aparaty podmorskie wykrywające dźwięki i zdolna jest w różny sposób dotrzeć do swego celu. W związku z tym, bezużyteczne stanie się prawdopodobnie formowanie konwojów morskich. Trzeba będzie natomiast budować liczne statki do przewożenia ładunków — o takiej szybkości, by były niedostępne dla ataków łodzi podwodnych. Będzie to środek dużo skuteczniejszy niż ochrona statków handlowych przez samoloty.

Bush konkluduje, że mimo grożących niebezpieczeństw szanse wojny morskiej nie są złe: wynaleziono już szereg metod ofensywy przeciw łodziom podwodnym, strącania samolotów zakładających miny lub rzucających bomby, i wiele innych środków obronnych.

Wojna lądowa z jej zmechanizowanymi armiami, sieciami komunikacyjnymi, działami kierowanymi przez radar, i kierowanymi pociskami powietrznymi, jest rzeczą równie skomplikowaną jak wojna morska czy powietrzna i wymaga ciągłych studiów i wysiłków. Jednym z interesujących dowodów na to jest pojawienie się nowej broni przeciwczołgowej o wielkiej sile, która z czasem może uczynić bezużytecznymi ciężkie czołgi. Jest to o tyle szczególnie ważne, że Rosjanie posiadają ponoć 40 tysięcy czołgów, w tym wiele ciężkich. Budowanie czołgów może jednak niedługo przestać się opłacać, jeśli okaże się, że łatwo będzie je niszczyć.

Nową broń przeciwczołgową stanowić będzie pocisk, zdolny przebić nawet najgrubsze opancerzenie. Już w czasie ostatniej wojny używane były t. zw. bazooki, wyrzucające pociski tego typu, a od tego czasu zdołano wybudować „bazooki" jeszcze lepsze, które zastosowane zostały w Korei. Obecnie poczynione zostały dalsze postępy, dzięki którym wyścig między działami a opancerzeniem przybrał obrót wybitnie korzystny dla obrony.

W zakończeniu Bush wyraża pogląd, że nowe metody taktyki wojennej nie tylko zdolne są zapewnić skuteczną obronę narodom, ich używającym, ale — być może — będą mogły zapobiec w ogóle wojnie.

Z J A Z D
AKCJI KATOLICKIEJ

Zjazd Przodowników Akcji Katolickiej odbędzie się w Londynie w dniach **24 i 25 lutego 1951 r.** w świetlicy Kościoła Polskiego, 2, Devonia Rd. N.1.

W pierwszym dniu, w sobotę, o godz. 3-ej nastąpi otwarcie Zjazdu i zostaną wygłoszone dwa wykłady dyskusyjne. Ks. J. Jarzębowski będzie mówił na temat **„Kościół jako wychowawca człowieka"** i red. W. Wasiutyński **„O zadaniu rodziny chrześcijańskiej"**. Instytut Polski Akcji Katolickiej zaprasza i zachęca wszystkich członków, sympatyków i osoby interesujące się zagadnieniami wychowawczymi do wzięcia udziału w Zjeździe.

Drugiego dnia, w niedzielę o godz. 10-ej zostanie odprawiona Msza św. w Kościele Polskim, konferencję wygłosi ks. prałat W. Staniszewski. O godz. 11-ej ks. infułat B. Michalski otworzy obrady Zebrania Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii.

EDMUND OPPMAN

Dnia 12 stycznia b.r. zmarł w Londynie na atak serca dr Edmund Oppman.

Urodzony 14 sierpnia 1903 r. w Ekaterynosławiu, lecz zgodnie z rodzinną tradycją ochrzczony w Łowiczu, zmarły bratanek Or-Ota należał do znanego rodu warszawskiego. Czy Oppmanowie przybyli do Polski z Turyngii, jak w to wierzył Or-Ot piszący swój słynny wiersz „Za kroplę mojej niemieckiej krwi", czy też jak chce inna tradycja rodowa pochodzili z rodu szwedzko-fińskiego, do dziś nie rozstrzygnięto. Zresztą ważne to mogło być tylko dla rodowej tradycji bo dla kraju od pokoleń byli Polakami.

Zwolniony z wojska po wojnie bolszewickiej, Zmarły wstąpił na Uniwersytet Warszawski, gdzie studiował historię, doktoryzując się w roku 1928. Należąc do grona najwybitniejszych z uczniów Handelsmana przez Monoda i Weitza sięgał znakomitych tradycji Rankego. Odznaczał się ogromną i wszechstronną wiedzą. Obok znajomości teorii materializmu dziejowego, i zainteresowania zagadnieniami metody i filozofii historii, historia polityczna 19 wieku była tematem Jego specjalnych studiów. Przed wojną pisał dużo. Trzy książki, sześć drobniejszych rozpraw i artykuły w Polskim Słowniku Biograficznym i Encyklopedii Wojskowej to plon dziesięciu lat przedwojennych.

Wojna ostatnia na długie lata przerwała jego studia naukowe, lecz przynajmniej pozwoliła na kontynuację pracy archiwalnej. Stary archiwista Archiwum Akt Dawnych, Archiwum Wojskowego i wykładowca na kursach archiwalnych zostaje powołany do zbierania wojennych akt naszego wojska. Aktami tymi jako archiwista Instytutu Im. Gen. Sikorskiego opiekuje się do ostatniej chwili. Do pracy naukowej wraca dopiero ok. r. 1946. Zbiera materiały do dużej monografii „Stosunki anglo-rosyjskie w XIX w." Poza tym niewiele drukował w ostatnich latach. Dwie rozprawki w „Tekach Historycznych" i kilka recenzji w tychże Tekach. „Wiadomościach" i „Niepodległości" — to chyba wszystko.

Urodzony w głębi Rosji — zmarł w Londynie. W takim skrócie można by zamknąć życie niejednego Polaka naszej epoki. I jak niejeden Polak naszej epoki nie miał On możności pokazania światu całej swej wiedzy, swych zdolności i swych możliwości.

A. F. Dygnas

N O W E F I L M Y

WSZYSTKO O EWIE, ŚWIEŻE WŁOSKIE POWIETRZE STĘCHŁA ANGIELSKA NUDA

All About Eve" (kina popularne). *Prod.:* 20th Century Fox. *Scenariusz i reżyseria:* Józef Mankiewicz.

„*Sunday in August*" (Kino Academy). *Prod.:* Collonna (włoska, *Scenariusz:* Sergio Amidei. *Reżyser:* L. Emmer.

„*The Long Dark Hall*". (Kino Leicester Sq. Theatre). *Prod.* Five Oceans (bryt.) *Scenariusz:* N. Johnson. *Reżyseria:* A. Bushell i R. Beck.

W setkach kin popularnych w Londynie i na prowincji idzie obecnie film „Wszystko o Ewie", zasługujący na omówienie jako wybitne dzieło sztuki, stworzone przez reżysera polskiego pochodzenia Józefa Mankiewicza, który w ciągu dwóch ostatnich lat takimi obrazami jak komedia „A Letter to Three Wives", „Home of the Stranger" (dzieło psychologiczno - sensacyjne z życia włoskiego imigranta w Stanach) i „No Way Out" (inteligentna walka z przesądami rasowymi) wybił się na szczyty hollywood'zkiej produkcji i z całą pewnością zalicza

Jak widać z powyższego (być może niepełnego) zestawienia prac Mankiewicza, jest to artysta wszechstronny. W „All About Eve" sięgnął po nowy temat — za kulisy wielkiego teatru. W sposób przenikliwy i bezlitosny pokazał metody, jakimi posługują się aktorki, by wspiąć się na szczyty drabiny teatrainej. Uczynił to niezwykle inteligentnie, przekonywująco i szczerze, panując w pełni nad tematem i artystycznym wyrazem. Film jest bezbłędny, więcej nawet: intelektualnie i estetycznie porywający błyskotliwością dialogu, wspaniałą grą aktorską i zwięzłą, nie lecącą na tanie efekty kompozycją całości. Etycznie dzieło to można zaliczyć do tej klasy scenicznego realizmu, który przez samo obnażenie zła staje się protestem i ostrzeżeniem.

Wahałbym się nazwać „All About Eve" komedią. To raczej studium obyczajowe o młodej adeptce sztuki dramatycznej Ewie Harrington (Anne Baxter) i o wszystkich innych Ewach, które wkradają się w łaski wielkich aktorek w tym przypadku Bette Davis), stają się ich sekretarkami i dublerkami, a potem, podkopując swe dobrodziejki — równie naiwne i dziecinne, jak kapryśne i histeryczne — dorywają się do wielkich ról i nagród za najlepsze kreacje. Tej właśnie Ewie Harrington pomaga w obłudnej i perfidnej grze potentat krytyki teatralnej (Georges Sanders) i niezbyt mądra żona dramaturga (C. Holm). Jaśniejszym promieniem w ponurym obrazie kulis teatralnych Broadway'u jest reżyser (Gary Merrill). Kreacje aktorskie w tym filmie są wspaniałe, przy czym na czoło wybija się inteligentna, nerwowa Bette Davis i opanowana Anna Baxter.

Na marginesie filmu Mankiewicza nasuwa się uwaga, że tylko bardzo zdolny scenarzysta potrafi ze słowa mówionego uczynić cenne elementy języka filmowego Tu dialogi — choć bardzo obfite — nie rażą, a przeciwnie są źródłem estetycznej rozkoszy. Ostrzegam jednak ,że dopiero pełna znajomość angielszczyzny pozwala uchwycić wszystkie finezje, paradoksy i aluzje, przerzucane jak piłki z ust do uszu współaktorów i widzów. Czyż Mankiewicz nie trafia w sedno, gdy ustami Sandersa mówi o ludziach teatru „*we are displaced personalities*".

Innymi słowy: film Mankiewicza utwierdził mnie w przeświadczeniu, że tylko świetny skrypt (czyli doskonała literatura) może wpływać na sztukę filmową, podnosić ją i uszlachetniać. Jeśli skrypt jest słaby — reżyser i dyrektor (przypominam, że w mojej nomenklaturze dyrektor to t.zw. „producer") — powinni redukować element słowny i kłaść nacisk na wizualność gry aktorskiej i dzieła.

Aby do tej rubryki wpuścić trochę świeżego, europejskiego (i cieplejszego, bo włoskiego) powietrza, przejdę z kolei do bardzo ciekawego filmu „Sierpniowa niedziela". Najpierw trochę personaliów. Właścicielem firmy „Collonna", której pierwszym filmem jest właśnie „Sunday in August", jest zdolny pisarz filmowy Sergio Amidei, który brał udział w produkcji najlepszych dzieł włoskich — jak „Rzym — miasto otwarte" i „Paisa". Reżyser jego — Luciano Emmer — znany jest z wybitnych filmów krótkometrażowych, ożywiających malarstwo Giotta, Boscha, della Francesco i innych mistrzów.

Podobnie jak w innych filmach włoskich ostatniej doby, sięgnięto tu po materiał do wydarzeń życia codziennego. „Sierpniowa niedziela" — to obraz masowej ucieczki Rzymian na plażę w Ostii — po świeże powietrze, po pieszczotę chłodnej fali, po rozrywkę i wypoczynek. Emmer pokazuje nam pięć grup wycieczkowiczów o różnej zamożności i różnym poziomie intelektualnym. Członkowie tych grup wyjeżdżają oddzielnie — tylko w dwóch wypadkach mamy do czynienia ze znajomymi, należącymi do innych towarzystw. Reżyser splata zręcznie zdarzenia wypełniające dzień poszczególnych osób i zespołów: incydenty sentymentalne, humorystyczne i tragiczne. Dzień mija, historia zamyka się i zaokrągla tłumnym powrotem do miasta — już w towarzystwie innych znajomych, z nowymi nadziejami, wśród nowych nastrojów. Tkaninę życia pokazano w ruchu, mieniącą się, pulsującą, bogatą.

Reżyser użył do swego celu bardzo niewielu aktorów zawodowych i licznych amatorów. Kamera operatora pracowała tu bezpretensjonalnie, lecz mądrze i wrażliwie. Choć mamy w filmie dialogi (źle tłumaczone na angielski) — jest to przede wszystkim dzieło [illegible]emawiające do wzroku. Świetne tempo i konsekwencja zdjęć: każda klatka taśmy posuwa akcję naprzód, co jest zasadą dobrego kina. Najważniejszą jednak zaletą tego obrazu jest szczere, ciepłe zainteresowanie ludźmi — zwykłymi, normalnymi, spotykanymi w życiu. Emmer idzie w życie, czerpie z niego pełnymi garściami i z tego materiału stwarza własną syntezę, daleką od szablonów mózgowych, od sztap używanych w studiach. „Sierpniowa niedziela" nie jest arcydziełem. Jest to piękny i obiecujący przykład rzetelnej, artystycznej roboty.

Niestety, nie można tego powiedzieć o „Długim, ciemnym hallu". Nawet tytuł nie jest tu jasny, bo żadne takie pomieszczenie nie gra większej roli w poronionym obrazie. Mamy za to przewlekły proces sądowy niesłusznie posądzonego o zamordowanie chórzystki i niesłusznie skazanego na śmierć przyzwoitego londyńskiego mieszczucha (Rex Harrison). Nie podobna pojąć, co chciano pokazać, bo film nie jest „whodunnit'tem": od początku wiadomo, że młodą dziewczynę zamordował kto inny — nawet nie klasyczny zbrodniarz, lecz niebezpieczny maniak. Jeśli scenarzyście i reżyserom (aż dwóch na jeden kicz!) chodziło o reakcje człowieka niesłusznie sądzonego i skazanego — to pokazali je bardzo pobieżnie i niezbyt ciekawie, zanudzając widza staromodną procedurą sądową. W dodatku nie jest nam dana nawet złośliwa satysfakcja ukatrupienia (na płótnie) głównego bohatera wypoconego przez scenarzystę: oto pod koniec filmu zjawia się *deus ex machina*. Rzeczywisty sprawca wędruje do domu wariatów, a ofiara omylnej sprawiedliwości w ramiona swej małżonki (Lilli Palmer). Dobra gra tej pary nie zdołała ocalić filmu przed bakcylami nudy, zabijającymi nie tylko sztukę, ale także rozrywkę za którą kasjer(ka) żąda kilku szylingów.

(sp)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

SUKCES KSIĄŻKI

Książka Thora Heyerdala „*The Kon - Tiki — Expedition*", która tak wybitne zajęła miejsca w ccenach wydawnictw zeszłorocznych, cieszy się w tłumaczeniu angielskim nadal niebywałym powodzeniem. W ciągu niecałego roku ukazało się jej dziewięć wydań, o łącznym nakładzie przeszło 180.000 egzemplarzy. Pod tym względem pozostawiła ona daleko w tyle diariusz Boswella.

Thor Heyerdal jest Norwegiem, od dawna zajmującym się badaniami nad ludami Polinezji. Jest on przekonany, że ludność wysp polinezyjskich przybyła tam w czasach przedhistorycznych z Ameryki Południowej. Pragnął on jednak csobiście upewnić się, czy możliwe jest przebycie Pacyfiku z wybrzeży południowo-amerykańskich do Polinezji na tratwie typu używanego przez ludy tamtejsze. W tym celu wraz z towarzyszami zbudował tratwę z drzewa, o które wystarał się w Peru, i ruszył z nimi na wyprawę w poprzek Oceanu Spokojnego. Książka jego poświęcona jest właśnie tej wyprawie, obfitującej w niezwykłe przeżycia i przygody. Śmiali podróżnicy dotarli istotnie do Polinezji. Ich tratwa rozbiła się o rafę kcralową, ale Heyerdal i jego towarzysze wyszli cało z tej opresji.

Teza, że możliwe jest przebycie tratwą Pacyfiku znalazła praktyczne potwierdzenie. Tym samym nabrały także znamion prawdopodobieństwa różne hipotezy, dotyczące wędrówek ludzkich poprzez Pacyfik w czasach przedhistorycznych.

W „*The Listener*" z d. 8 lutego ukazał się list p. Harry Aplinga, który podkreśla, że jeśli można było przebyć tratwą 4.000 mil na Oceanie Spokojnym przy pomocy południowegc prądu równikowego i wiatrów południowo - wschodnich, można także dopuszczać możliwość, że w czasach jeszcze wcześniejszych ludzie wyruszali na łodziach dostosowanych dc żeglugi morskiej, z Morza Śródziemnego do północnego wybrzeża Ameryki Południowej, korzystając z pomocy północnego prądu równikowego i wiatrów północno - wschodnich.

„Szereg rzeczy — pisze p. Apling — nasuwa przypuszczenie że między rokiem 1500 a 1000 przed nar. Chr. jedna z licznych wypraw poszukiwaczy złota i innych metali, jakie urządzano wówczas ze wschodniegc regionu śródziemnomorskiego, przebyła Atlantyk, pożeglowała później w górę Amazonki i dotarła w końcu do wyżyn andyjskich. W tym wypadku można by przyjąć, że cywilizacja poprzedzająca Inków, była wynikiem zaszczepienia potężnej dozy kultury śródziemnomorskiej niższej kulturze tubylczej, zrcdzonej przez rozprzestrzenienie się w Ameryce Północnej ludów typu azjatyckiego.

„Od dawna już zauważono liczne podobieństwa między cywilizacją Inków i przed-inkowską w Peru a cywilizacją egipską, ale tłumaczono je w inny dwojaki sposób. „Dyfuzjcniści" mówili, że cała kultura południowo - amerykańska przyszła z Azji czy to przez Cieśninę Beringa, czy poprzez Polinezję; ewolucjoniści utrzymywali, że pełna kultura wyrosła tam, gdzie ją znaleziono".

NOWA KSIĄŻKA O OŚWIĘCIMIU

Nakładem londyńskiej firmy Dennis Dobson ukazała się książka Krystyny Żywulskiej „*I Came Back*", opisująca przeżycia autorki w niemieckim obczie koncentracyjnym w Oświęcimiu (cena 12 sh). Książka ta wyszła poprzednio w Polsce pt. „Przeżyłam Oświęcim" i miała dwa wydania. W przekładzie angielskim pojawiła się również w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

DYSKUSJE

KLASYCYZM I „GODZINA ŚRÓDZIEMNOMORSKA"

Pan Bielatowicz rozpoczynając serię felietonów pod ogólnym tytułem: „Po łepkach", istotnie prześlizguje się często, nie uzasadniając, po powierzchni podejmowanych probiemów „ex cathedra" i „ex commodo".

Będę mówił o „Godzinie Śródziemnomorskiej" Parandowskiego.

Po przeczytaniu tej książki, poza przepięknym językiem nie znalazłem nic, co by mi utkwiło w pamięci i dogłębnie wzruszyło. Kładę to na karb otępienia, spowodowanego pięcioletnim pobytem w obozie koncentracyjnym. Byłem raczej zdziwiony tym, że Parandowski w chwili, kiedy ginęły miliony, kiedy ziemia jęczała od apokaliptycznych wstrząsów bomb, zamknął się w odległym świecie antycznym i snuł historię kamienia przydrożnego rzymskiego szlaku.

Wstrzymuję się od szczegółowej analizy psychologicznej tego fenomenu, określam jednak z grubsza to zjawisko jako u c i e c z k ę od rzeczywistości.

Twórca (w tym wypadku poeta) jest konstrukcją o specjalnym wyczuleniu i żadne studia nie produkują poety — poeta się rodzi. Mówi się popularnie, że artysta jest „uchem i okiem" społeczeństwa, jest zawsze odzwierciedleniem swojej epoki, jest zwierciadłem niejako... Chodzi o to, aby to zwierciadło było możliwie czyste i możliwie z najszlachetniejszych surowców spreparowane.

Zwierciadło, w którym widzę odbitkę zamierzchłej przeszłości, choćby nawet tak piękną, jaką jest niewątpliwie „Godzina śródziemnomorska" jest tylko bibelotem, cackiem do ozdobienia kominka.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie znaczy to, abym od poety wymagał krwi, dymu i skandowanego opisu pieców krematoryjnych. Nie. Nigdy bym np. nie namalował obrazu na tematy obozu koncentracyjnego, a wydaje mi się, że przedmiot znam wyjątkowo dobrze.

Ucieczka w swój świat jest uzasadniona, należy przypuścić, że mamy tu do czynienia z samoobroną przed zalewem współczesnego chamstwa, niemniej ożywianie mitów kwitnących w godzinie pożogi własnego domu jest, najłagodniej mówiąc, kwietyzmem pięknoducha.

* * *

Mieliśmy w Oranienburgu nielada „głowę". Był nią Illimani (przytaczam jeden z jego pseudonimów). Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że człowiek ten wisi na niewidzialnym sznurze a pasiak — ot tak sobie dynda. To była na prawdę chodząca głowa.

Illimani znał piętnaście języków w słowie i piśmie. Po polsku mówił doskonale. Często dyskutowaliśmy naszą rzeczywistość obozową. Pracowaliśmy razem na komendzie „Franklin" D.A.W., siedziało się i czyściło „socle" lamp radiowych.

Illimani „zorganizował" książki (był rok 1944) i czytywał je ukradkiem pod nieobecność werkmajstra. Zaciekawiony, podszedłem i zajrzałem co on też czyta, może pożyczy?... Czytał Platona po grecku... miał także Wergilego...

Platon i Wergiliusz w Oranienburgu.

Kiedy w wiele miesięcy potem ewakuowano nas, znalazłem się z nim w jednym bydlęcym wagonie. Miał dwie paczki. W wagonie umieszczono nas komfortowo — po stu. Był luty. Po trzech dniach wylądowaliśmy w Buchenwaldzie. Umarło zaledwie czterech, zwariował tylko jeden. . . Bardzo szczęśliwy transport.

Illimani miał już tylko jedną paczkę. Druga została „rozebrana przez „kalehów" jako że zawierała żywność. Słyszeliśmy w drugim końcu wagonu jakieś sapanie i lekki kwik — mowy nie było o interwencji.

W Buchenwaldzie zgromadzono nas pod olbrzymim namiotem, gdzie mieliśmy czekać na odwszenie. Padał mokry śnieg z deszczem, tak że chociaż byliśmy chronieni płachtą od góry, brodziliśmy w błocie. Instynkt stada podzielił nas na grupy narodowościowe. Dla Polaków wybrałem miejsce przy ścianie namiotu, skrzyknąłem swoich i tak zabezpieczeni od tyłu mogliśmy stawiać czoło ewentualnej inwazji „kalehów", polujących na tobołki i paczki.

Ten chwyt taktyczny okazał się wkrótce bardzo przewidujący. Moskale, widząc nasze tobołki, zbliżyli się i otoczyli nas półkolem. Trzymali się jednak w dość przyzwoitej odległości. Nie robiliśmy wrażenia „muzułmanów" a trzepnięcie w zęby zgłodniałego i wycieńczonego „kalehi" mogło się nie opłacać. Wrazili ślepia w nasze paczki, które właśnie zaczęliśmy rozładowywać. Na odczepne rzuciłem im puszkę mleka. Po minucie tumany białego proszku unosiły się nad kłębowiskiem ciał. Nikt nie skorzystał, mleko poszło na grzbiety, ręce i na ziemię. . . Mogliśmy w spokoju spożywać ser szwajcarski z konfiturami i cukier z paszletem, byle zapchać brzuch przed niewiadomym.

„Kalehi" systemem wilków kontynuowali polowanie.

Illimani miał nieszczęście odłączyć się od swojej grupy. Natychmiast został otoczony, po chwili znikł i jedynie fruwające kartony rozrywanej paczki znaczyły centrum jamochłona, wyrzucającego niestrawne części. Z zadziwiającą szybkością kłąb rozluźnił się. Na błocie siedział zmiętoszony Illimani — obok umazane błotem, w strzępach, książki... Platon i Wergiliusz. Na połamanych drzwiach, w miejscu nieco suchszym, konał człowiek, zgarniając błoto do ust, aby zwilżyć spalone wargi.

* * *

„Klasycyzm jest najważniejszym dokonaniem ludzkim w zakresie twórczości pięknej", ergo wszystko co było potem jest albo naśladownictwem albo „ucieczką" od klasycyzmu. Pan Bielatowicz miał na myśli prawdopodobnie klasycyzm antyczny — tym gorzej, bo jednak klasycyzm nie jest najwyższym osiągnięciem twórczości ludzkiej. Warto przypomnieć na tym miejscu etymologię słowa „klasyczny". Klasyczny znaczy tyle co wzorowy. Wzory podaje się — uczy w szkołach, inaczej „klasach" i stąd urobione pojęcie „klasyczny".

Wiemy, że to czego się uczy w szkołach mimo pozornego związku z życiem, bardzo często staje się tylko pojęciem „klasycznym" i taki „klasycyzm" jest synonimem tępoty naukowej, bardzo metodycznej i ogromnie logicznej, usankcjonowanej tępoty, którą mamy zwyczaj koronować tytułami magisterskimi i doktorskimi, w związku z czym złożyłem ostatnio wniosek w Sorbonie, aby dyplomy drukowano na papierze... hygienicznym.

Wracam jednak do tematu.

Możemy mówić (i mówimy) o klasycyźmie okresów twórczych o zdecydowanym obliczu, np. kiedy mówimy o „klasykach francuskich" albo o „klasykach" polskich, wiemy, że nie chodzi tu o Rabelego czy Reja i wiemy, że „klasycyzmy" te nie pokrywają się w czasie. Znane nam jest pojęcie „klasycznego gotyku" czy „klasycznego baroku".

Dowiadujemy się z wywodów p. Bielatowicza, że „wszystkie epoki, które wydały wojnę klasycyzmowi — bez wyjątku walkę przegrały". Niejacy: Hitler i Mussolini właśnie sięgnęli do źródeł klasycyzmu i na rozkaz dyktatorów zakwitła najwspanialsza sztuka 20-go stulecia...

Najwyższy wyraz twórczy średniowiecza (i obawiam się, że największe osiągnięcie sztuki chrześcijańskiej po dzień dzisiejszy) gotyk, do źródeł antycznych nie sięgał, mając dostateczną siłę twórczą, wykwitłą z wiary.

Na pewno Łaska jest z gotykiem.

Jeśli z woli Bożej Kościół stanął w Rzymie, to nie dlatego, że Rzym był klasyczny, ale prawdopodobnie dlatego, że był pogański.

„Chrześcijaństwo jest dzisiejszą formą klasycyzmu" czytamy u p. Bielatowicza. Chcielibyśmy zwrócić uwagę na fakt, że „chrześcijaństwo" niekoniecznie jest „formą dzisiejszą", jako że liczymy sobie już dziewiętnaście i pół wieku nieprzerwanego istnienia i jeślibyśmy chcieli mówić o klasycyźmie chrześcijańskim, to był nim okres wyżej przez nas wspomniany — wiek gotyku, wiek wiary żywej, przenikającej dogłębnie ówczesne życie, wiek, na który uzbrojeni „po zęby" nauką patrzą niektórzy z politowaniem, ale i z poczuciem zazdrości w przekonaniu, że człowiek w swojej istocie zmienił się, skomplikował i nie może już wierzyć, bo by to zaszkodziło jego „nauce".

Przypadkiem zjawiła się mała dzieweczka, mająca w jednym paluszku więcej mądrości od wiązki głów utytułowanych teologów, pokazując „małą drogę" do zdobycia największych wartości. Dzieweczka ta nazywała się siostrą Teresą od Dzieciątka Jezus. Po wyniesieniu Jej na ołtarze „chrześcijański klasycyzm" postawił Jej bazylikę w Lisieux — potworny konglomerat „stylów", Jej, która jest wyrazem najpiękniejszej prostoty. Chcąc naprawić niedociągnięcie, ostatnio nazwano Jej imieniem ser... tak, doskonały ser normandzki. Bardzo klasycznie.

Walka z „klasycyzmem", o której wspomina p. Bielatowicz jest niczym innym, jak poszukiwaniem własnego wyrazu. Znalezienie tego wyrazu niczym światu antycznemu nie szkodzi. Warunki kształtujące świat antyczny są niepowtarzalne i epoki „sklejające rozbite przez siebie klasyczne posągi" oddają hołd sztuce, a naśladując ją znaczą drogę słabości i ucieczkę od własnej osobowości.

Kościół katolicki (nie „chrześcijański") stoi zawsze w obronie indywidualności. Indywidualność rozwija się najpełniej w ścisłej współpracy z Łaską, inaczej w całkowitym niejako zatraceniu „siebie" w Bogu.

Najwyższym wyrazem indywidualności w Kościele katolickim są święci. Świętość bowiem, to indywidualność, święty, to „klasyk" Boży i naśladowanie świętych jest takim samym błędem, jak naśladowanie klasycyzmu antycznego. Naśladować możemy i winniśmy Boga. Wielość indywidualna Chrystusa jest tak nieograniczona, że każdy z nas „odnajdzie siebie" w Nim.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby p. Bielatowicz zechciał pogłębić nieco znajomość filozofii katolickiej i aby wypowiedzi Jego były bardziej precyzyjne, tam, gdzie używa pojęcia „chrześcijański".

Felieton, porównany kiedyś poetycznie przez p. Bielatowicza do spadającego liścia, niech nie będzie listkiem opadającego talentu.

Zygmunt Gąsiorowski

Paryż w styczniu 1951 r.

★

Byłoby sprzeczne nie tylko z poglądami autora, ale i z sensem kultury, gdyby wypowiadane poglądy miały zmuszać kogokolwiek do ich aprobaty. Można znakomicie nie gustować w klasycyźmie. Można nawet być gorącym względnie głębokim chrześcijaninem i odczuwać wstręt do antyku. Nie kto inny, ale właśnie chrześcijanie zburzyli Rzym starożytny, skwapliwie go zresztą po wiekach rekonstruując. Uczynili tak, gdyż chrześcijaństwo nie było zaprzeczeniem *kulturalnym*, lecz kontynuacją klasycyzmu. Dość wspomnieć Arystotelesa, którego myśl ochrzczona przez św. Tomasza, jest po dziś dzień myślą Kościoła.

Termin „klasycyzm" nie pochodzi od „klas" w szkole i nie jest synonimem „tępoty umysłowej". Jest sprawą dość obojętną, jaka jest tego wyrazu etymologia. „Classis" — jeśli już o to chodzi — najpierw oznaczało po prostu syrenę okrętową, powtarzający się rytmicznie dźwięk. Potem flotę w ogóle. Potem pobór do floty. Potem rocznik poborowy. I tak dalej — aż do pojęcia czegoś uporządkowanego, systematycznego, regularnego, uzbrojonego szyku, porządku, ładu. Klasyczność, to po polsku najprościej „ład", a klasycyzm, to sposób uporządkowanego, wzorowego myślenia i tworzenia. Dlatego też żaden Hitler nie był klasykiem, lecz Wandalem, odwołującym się do pierwotnych ludzkich instynktów.

O znaczeniu wyrazu „klasycyzm" można sobie z pożytkiem przeczytać chociażby w pracy Tadeusza Zielińskiego p.t. „Świat antyczny a my". Jest tam n.p. takie zdanie: „Przez klasycyzm rozumiemy kierunek w literaturze i sztuce, upatrujący w literaturze i sztuce świata antycznego... normę do naśladownictwa." Czy to dostatecznie jasne? Antyk, jest to określenie zamkniętego kręgu kultury, kultury martwej, kiasycyzm zaś jest zjawiskiem ciągle żywym.

Gotyk był tylko kierunkiem w sztuce plastycznej i nigdy nie stanowił pełnego systemu kultury. O gotyku, nawiasem mówiąc, cytowany dopiero co prof. Zieliński wyraża się, iż jest on również „rozkwitem ziarna antycznego. Ziarno owo, to jest prawość architektoniczna." (Op. cit.).

Przyznam szczerze, że jako miłośnik klasycyzmu jestem wrogiem biegunki myśli, dlatego też proszę mi wybaczyć, iż nie podejmę dyskusji na temat świętych, sera normandzkiego i papierów Sorbony równocześnie.

Pragnę tylko jeszcze ostrzec przed niebezpieczeństwem i grozą t.zw. ideowego terroru. Ulubionym zaklęciem współczesnych terrorystów jest „eskapizm", co się po polsku wykłada „duch ucieczki". Doradzanie tematów twórczości duchowej przez wszelkich polityków oraz ofiary wojen i zbrodni jest urąganiem powołaniu twórczości, zwłaszcza pięknej. Fakt iż w XX wieku wznowiono ludobójstwo i wymyślono obozy koncentracyjne i piece gazowe, w niczym nie przeszkadza tokarzom produkować tokarek, kuśnierzom futer, elektrykom żarówek ni garncarzom garnków. Produkcja żarówek czy garnków jest oczywiście wobec obozów koncentracyjnych „eskapizmem". Ale świat zubożałby i zbrzydł jeszcze bardziej, gdyby na znak protestu przeciw obozom elektrycy i garncarze przestali robić swoje. Albo gdyby górnicy przestali kopać węgiel i hutnicy odlewać stal dlatego, że żołnierze toczą wojny.

To samo jest ze sztuką. Każda sztuka jest swego rodzaju „eskapizmem". Czy nie jest „eskapizmem" cała sztuka religijna? A czy „Pan Tadeusz" nie był „ucieczką od życia", czy nie zatrzasnął szczelnie drwi „od Europy hałasów"? A „Trylogia" cóż miała wspólnego z prądem współczesnego żywota? To tylko ślepi doktrynerzy marksistowscy pragnęliby sztukę zaprząc do rydwanu ich politycznej i społecznej ideologii. Sztuka ma swoje własne prawa i swój własny świat. To już jej sprawa, w jaki sposób odnajduje swój sens w nurcie życia. Piękno życia doczesnego i mądrość człowieka polegają właśnie na tym, że oprócz obozów koncentracyjnych i pieców krematoriów istnieją też „historie kamieni przydrożnych rzymskiego szlaku". Te kamienie nie są mniej ważne od bomb.

Jan Bielatowicz

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: **Redakcja i Administracja:** AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem** sobót, niedziel i świąt. **Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. **CENY OGŁOSZEŃ:** 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: **miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr.** Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. **kwartalnie 7.00 DM.** ARGENTYNA: cena 1 egz. — **2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos.** Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: **kwartalnie 3.50 frs.** Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: **kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol.** Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734